

ISSN 0867-4094
Nr indeksu 356-875

DEKADA Literacka

Nr 5 (107) Rok V
31 VII 1995 Kraków
Cena 1,5 zł (15 000 zł)

Wiersze: Gunnar Ekelöf, Jolanta Stefko ■ Proza: „Dach” Anny Potoczek ■ Rozmowa z tłumaczem literatury polskiej, Karolem Lesmanem ■ Maja Jurkowska o Emilu Cioranie

KSIAŻKI DZIECIŃSTWA



Jan Saudek, Fotografia

(Repr. wg albumu Jan Saudek, Życie, Miłość, Śmierć i inne Blahostki, Copyright © 1994 Art Unlimited)

Pamiętam książki, które mnie czytano, bo nie umiałem jeszcze wtedy czytać. To było w Rosji, w czasie pierwszej wojny światowej. Niektóre firmy wydawnicze ewakuowały się z Warszawy, kiedy Niemcy następowali, i wydawały w Kijowie. Była taka księgarnia Ildzikowskiego, która wydawała tam książeczki dla dzieci. I właśnie jedne z pierwszych lektur, które mnie czytano, to właśnie te książki Ildzikowskiego. Był taki Remigiusz Kwiatkowski, który pisywał książeczki oparte na motywach poezji japońskiej. (Wtedy właśnie postanowiłem, że moją żoną będzie Japonka). Książeczki te przetwarzały znane wschodnie baśnie i legendy rymowane przez Kwiatkowskiego. Na przykład o meduzie, która zupełnie inaczej dawniej wyglądała — miała taką konchę. I gdy królowa smoków mieszkająca w głębi morza zachorowała, lekarze powiedzieli, że jedynym lekarstwem jest małpia wątroba. Wobec tego meduza została wysłana na powierzchnię morza, żeby przyniosła małpią wątrobę. Popłynęła do wyspy, gdzie małpy igrały na drzewach i zaczęła im opowiadać o cudownym kraju, do którego może je wziąć. Jedna małpka zeskoczyła z drzewa na muszlę meduzy. Meduza ją wiedzie i śmieje się: ale ciebie oszukałam! A małpka złapała się za głowę: jakie nieszczęście! Ja zapomniałam wątroby, wisi na drzewie! „I Meduza, głupiogłowa, uwierzyła w małpie słowa”. Wróciła na wyspę, małpka uciekła, misja się więc nie udała. Gdy pojawiła się w pałacu króla smoków „wnet schwycili ją żołnierze, co ma, każdy do rąk bierze, i tak zbili ją niestety aż na kupkę galarety”. Dlatego meduza ma dzisiaj taką postać. To jedna książeczka. Druga była o rodzinie kotów. Rodzina kotów przyjechała w odwiedziny do babci. Było bardzo przyjemnie, i kiedy już trzeba było wracać, jeden z kotów, który się nazywał Psik, chciał odwlec ten moment: „Psik wstrzymuje zegar łapką, żeby dłużej pobyc z babką”. To druga książeczka. Trzecia, której autora nie znam, była przerażająco smutna. O małym chłopcu, który wraca na miejsce, gdzie kiedyś była wieś, zburzona teraz przez wojnę. I szuka grobu swojej matki, błądzi wśród jeżyn, ożyn i innych krzewów, raptem kolce chwytają go, on się zatrzymuje, i to jest grób jego matki. Dla małego chłopca, jakim wtedy byłem, to było bardzo silne przeżycie melodramatyczne. Sporo się nad tą książką napłakałem.

Po fazie pobytu w Rosji nastąpiła faza powrotu na Litwę do Szetęj. I miałem do dyspozycji zawartość biblioteki w Sze-

tejniach, która — jak zwykle w dworach polskich — kończyła się na roku 1914. Mój pradziadek ze strony matki, Szymon Syruć, zebrał dość dużą bibliotekę i tam były książki z połowy XIX wieku. Jedyny atlas, który widziałem wtedy jako mały chłopiec, miał białą plamę w środku Afryki. Były tam też pisma: „Przyjaciel Dzieci” — takie pismo wychodziło w XIX w. „Biesiada Literacka”, „Kłosa”, które sobie podczytywałem. Ale *Trylogię* — pamiętam — czytała mi moja kuzynka, Marysia Pawlikowska, bo wtedy sam jeszcze czytać nie umiałem, chyba właśnie się uczyłem. Ale nie pamiętam żadnych wrażeń z tą lekturą związanych. Wielkie wrażenie natomiast wywarła na mnie jakaś powieść, adaptowana chyba z włoskiego, o zburzeniu Mediolanu przez Fryderyka Barbarossę. Plakałem z tego powodu rzewnymi łzami. Poza tym czytałem jakieś powieści o pierwszych chrześcijanach. Nie wiem, czy to było *Quo vadis*. Chyba nie. Jakies inne powieści dla młodzieży. I potem mi się śniło, że zjadają mnie lwy. Poza tym były w tej bibliotece książki z połowy XIX wieku ilustrowane barwionymi drzeworytami. O Afryce, o Brazylii. Bardzo mnie one fra-
powały.

Jednym z kluczowych doświadczeń lektury tego okresu był Fenimore Cooper, *Tropiciel śladów*. Ale nie był to oryginalny Fenimore Cooper. Robiono skróty dla młodzieży, prawdopodobnie na podstawie przekładów francuskich. O co w tej książce chodzi? To jest właściwie epos jednego człowieka, którego poznajemy jako młodego, dzielnego myśliwca, a w każdym następnym tomie mamy do czynienia z tym samym człowiekiem, ale już trochę starszym. I on stale idzie na Zachód. W pierwszym tomie te miejscowości są jeszcze zupełnie dzikie. Jak na przykład jezioro Osvego w wyższej części stanu New York. Na tym jeziorze, w barce mieszka emerytowany pirat z dwiema córkami Judytą i Korą, a brzegi roją się od Indian. Bohater Coopera wciąż szuka nowych dzikich miejsc. Właściwie — ucieka od ludzi. Ale przekleństwo polega na tym, że on właśnie jest pionierem. Przychodzi pierwszy, a za nim zaraz biali osadnicy. W ostatnim tomie jest już starym człowiekiem. Idzie na prerię. Przed nim jest tylko ta Wielka Równina. Ta długa powieść, wielotomowa, ściągnięta w jedną książkę to jest niesłychana historia, niezwykle romantyczna i melodramatyczna. Historia starzenia się. I dziś widzę tu źródła

Czesław MIŁOSZ

„Źródła moich niektórych późniejszych fascynacji...”

moich niektórych późniejszych fascynacji. Kiedy później w Paryżu obejrzałem sztukę Pirandella *Tego wieczoru Improvizujemy*, z Ludmiłą Pitojeff, słynną aktorką francuską, przypomniałem sobie tego czytane w dzieciństwie Coopera. U Pirandella jest młoda dziewczyna siedząca na scenie. I przychodzą prządki Losu, które sypią jej popiół na głowę, dodają zmarszczek. I ona w ciągu kilkunastu minut staje się starą kobietą. Zareagowałem na ten dramat bardzo silnie, właśnie dlatego, że czytałem Fenimore'a Coopera. Osobno musiałbym omówić ogromne dla mnie znaczenie *Cudownej podróży Selmy Lagerlöf*. Uwielbiałem tę książkę.

W dzieciństwie przeczytałem dwie książki o przemianianiu się, które wywarły trwały wpływ na moją twórczość. Jedna to był *Gucio zaczarowany* Urbanowskiej, o niegrzecznym chłopcu, który został zamieniony w muchę. Bardzo przejęła mnie ta historia. A druga książka to *Doktor Muchołapski* Erazma Majewskiego. Przeczytałem ją, gdy byłem już nieco starszy. Książka głęboka. O entomologu, który specjalizował się w badaniu much. Od Anglika, któremu ocalił życie w Indiach, otrzymał tajemniczy eliksir. A ponieważ chciał eksplorować świat owadów, wypił ten eliksir na łące tatrzańskiej i zamienił się w małego człowieka. W świecie owadów miał niezwykle przygody. Ta książka była dla mnie ważna, bo pokazywała okrucieństwo natury, tak jak to się przedstawiało oczom obserwatora zmniejszonego. Poza tym doktor Muchołapski stał się moim ideałem życiowym. W dniu, w którym odbyć miał się jego ślub, poszedł do łązienek i zobaczył rzadką muchę. Był już w cylindrze i we fraku, ale zaczął tę muchę gonić. I zastano go na gałęzi czającego się, by złapać muchę. Panna młoda zemdlała, ślub nie doszedł do skutku, a doktor Muchołapski został na całe życie starym kawalerem, wiernym idei badania owadów. I wierność tej manii bardzo mnie wtedy poruszyła. To łączyło się u mnie z podejrzeniem, że dorosli są głupi, bo niezdolni do takich entuzjazmów, czyli że Muchołapski był wśród nich wyjątkiem. Później stałem się dorosłym i tak samo głupim. Może jednak niezupełnie, może zachowałem swoją dziecińność...

Tekst opracowany przez Autora na podstawie rozmowy radiowej przeprowadzonej przez red. Martę Szostkiewiczową.

Anna Czabanowska-Wróbel **MŁODA POLSKA** — po stu latach... dalej w Krakowie

Na jesieni 1994 trwała w Krakowie pięciodniowa sesja młodopolska, odbywała się też sesja o sztuce przełomu wieków. Na koniec roku akademickiego, w dniach 7-9 VI, odbyła się w Krakowie zorganizowana między innymi przez zakład teatru Instytutu Filologii Polskiej UJ sesja zatytułowana **STANISŁAW WYSPIAŃSKI. Studium artysty. Praca i mit.**

Wystąpienia badaczy należących do różnych pokoleń rozpoczęła nestorka badań nad dramatem, profesor Irena Stawińska. Mówiła ona o badaniach nad twórczością Wyspiańskiego Tymona Terleckiego i Toli Korian.

Maria Podraza-Kwiatkowska przełamała stereotyp mówienia o „teatrze ogromnym” Wyspiańskiego tylko w kategoriach „świętyni”. Jej referat „Kościół Boga czy Czarta?” pokazywał dwuznaczne, święto-przeklęte pierwiastki zawarte w sposobie ukazywania przez Wyspiańskiego teatru z jego podejrzaną zdolnością kreacji, duszy ludzkiej, wreszcie losów Polski („diabeł tragicznie płacze polskie dzieje”).

Franciszek Ziejka zajął się genezą *Kłątwy* i w oparciu o materiały archiwalne (przed wszystkim pamiętnik Jakuba Bojki) odsłonił szczegóły związane z konfliktem mieszkańców Gręboszowa z dwoma kolejnymi proboszczami, starym księdzem O. i młodym księdzem K. (nazwiska zostały ujawnione). Obaj mieli we wsi nieślubne dzieci, obaj zwalczali relikty pogańskich pogrzebowych zawodzeń (posuwając się aż do bicia swoich parafian). Natomiast wydarzenia związane z wielką suszą 1889 roku miały miejsce nieco dalej, w Gręboszowie prześlągalny ofiarny stos nie zapłonął.

Obrazy jednego popołudnia odbyły się w Rydlówce, gdzie najlepiej dyskutuje się o Krakowie młodopolskim, o *Weselu* i jego artystycznych „ciągach dalszych” (Anna Kuligowska-Korzeniowska i Jan Ciechowicz).

Szczególnie dobrze słuchało się referatów poświęconych Wyspiańskiemu we wnętrzach muzeum jego imienia, wśród jego dzieł plastycznych, w gościnie u pani dyrektor Marty Romanowskiej. Tu wypowiadali się zwłaszcza historycy sztuki i teatrologi. Dwa ważne wystąpienia podkreśliły rolę *Studium o Hamlecie* jako klucza do koncepcji dramatu, teatru, inscenizacji, gry aktorskiej, jaką stworzył Wyspiański. Dobrochna Ratajczakowa odwoływała się do symbolu labiryntu, Ewa Miodońska-Brookes do symbolu książki, która jest także labiryntem. Profesor Miodońska zachwyciła słuchaczy sposobem wygłoszenia, tak, wygłoszenia, a nie odczytania swojego studium o? do? (te wątpliwości frazeologiczne stanowią nawiązanie do jej kunsztownej interpretacji *Studium o Hamlecie*).

Okłaski przerywały lekturę niewydanych jeszcze listów Wyspiańskiego. *Listy do Karola Maszkowskiego* to kolejny tom opracowywany pieczołowicie przez Marię Rydlową. Fragmenty odczytywane i komentowane przez niezmordowaną edytkę ukazywały Wyspiańskiego jako człowieka niesłychanie wymagającego wobec przyjaciół, projektującego ich drogi twórcze na miarę własnego, a nie ich geniuszu i temperamentu. Mogłyby je podsumować zastosowane już do kogo innego słowa „okrutny talent”. Najbardziej jednak okrutny i bezwzględny był Wyspiański dla samego siebie. Listy potwierdzają to, czego powinien domyślić się każdy widz *Wyzwolenia*. Wyspiański to przenikliwy znawca własnych wad, sarkastyczny tropiciel własnych słabości, co chwila zwracający ostrze swojej gorzkiej ironii w stronę samego siebie.

Na sesji mówiono jeszcze między innymi o rytmie w dramatach Wyspiańskiego (*W. Szturc*), ożywionych posagach z *Akropolis* (*W. Balus*), dwukrotnie o *Nocy Listopadowej* (Maria Prussak i Miłostawa Bukowska-Schiellmann), o Wyspiańskim i Kantorze (*K. Pleśniarowicz*).

Zabrakło mi na sesji referatu poświęconego wyłącznie interpretacji *Wyzwolenia*, dramatu, który kryje w sobie jeszcze wiele zagadek i tu (posługując się centralną metaforą z referatu Dobrochny Ratajczakowej) sam jest labiryntem. Niejednego badacza wciągnął już i poprowadził swymi korytarzami w głąb, nie wskazując drogi wyjścia. Artyściową interpretację *Wyzwolenia* zaproponowała i opublikowała co prawda niedawno Ewa Miodońska (*Tragedia Edypa i tragedia drobnoustrojów*). W jej precyzyjnym odczytaniu dramat ten to nie chaos, lecz kosmos.

Sesja nie zamknęła badań nad Wyspiańskim w ciasnych szufladach dyscyplinarnych czy tematycznych. Ukazują się nowe ścieżki, nowe zagadnienia, wszystko to skłania do poszukiwań.

„Czym dla nowej literatury polskiej Wyspiański, Kasprzowicz, Żeromski, Tetmajer, Staff, Berent, Sieroszewski i inni, tym dla polskiej plastyki artystycznej zmarli i żyjący członkowie Sztuki” — pisał

Władysław Kozicki. Słowa te cytuję ze wstępu Stefani Krzysztofowicz-Kozakowskiej do katalogu wystawy *Sztuka kręgu Sztuki*. Wystawę można oglądać od 26 V do 10 IX w nowym gmachu Muzeum Narodowego. 27 VI odbyło się tu spotkanie poświęcone tej ekspozycji i samemu Towarzystwu Artystów Polskich „Sztuka”. Początek wieczoru stanowił „obrazek sceniczny” Marka Sołtysika *W oku światła* w reżyserii Wojciecha Markiewicza. Najmłodszy krakowski aktor wcielił się na chwilę i cokolwiek umownie w rolę malarza z początku stulecia (a może raczej w rolę ich zjaw wyjaśniających dzisiejszym widzom, kim niegdyś byli). Każdy z widzów otrzymał zrobioną w trakcie przedstawienia czarno-białą fotografię (na końcu szeregu stoi Maria Peszek — Olga Boznańska). Część drugą wieczoru wypełniła dyskusja historyków sztuki (pani Jan Cavanaugh ze Stanów Zjednoczonych, Piotr Krakowski, Mieczysław Porębski, Tomasz Gryglewicz), historyków literatury (Maria Podraza-Kwiatkowska, Franciszek Ziejka) i artystów reprezentowanych przez „pogrobowca Młodej Polski”, Zbysława Maciejewskiego. Mieczysław Porębski podkreślił „czystość koncepcji tej wystawy”. Autorki bowiem, Stefani Krzysztofowicz-Kozakowska i Barbara Małkiewicz, przewertowały katalog wystawy „Sztuki” i zadbały, by w salach muzeum znalazły się wyłącznie dzieła kiedyś pokazywane, a nie przypadkowe obrazy twórców należących do towarzystwa artystów polskich „Sztuka”. Możemy więc oglądać plakaty Axentowicza, Mehoffera i Weissa, portrety Malczewskiego, Wyczółkowskiego czy Boznańskiej, pejzaże Chelmońskiego, Pankiewicza, Ruszczyca, Stanisławskiego, okładki książki projektowane przez Jana Bukowskiego, Stanisława Dębickiego i Stanisława Wyspiańskiego, rzeźby Wacława Szymanowskiego i Konstantego Laszczki.

Oprawę plastyczną wystawy zaprojektował Jan Kolanowski, ale sposobowi aranżacji patronował

Stanisław Wyspiański, gdyż to właśnie on (a za jego przykładem inni: Frycz, Mehoffer, Jarocki) stworzył przy okazji wystaw „Sztuki” niepowtarzalny sposób aranżowania ekspozycji z wykorzystaniem tkanin, malowanych fryzów, boazerii i mebli, tak, by wystawa jako całość stanowiła dzieło artystyczne. Dzisiejsza prezentacja wprowadza w klimat tamtych ekspozycji, krakowskich, warszawskich, berlińskich czy wiedeńskich, znanych jedynie z fotografii i opisów.

Tak jak w przypadku Wyspiańskiego trudno uciec od pytań o jego europejskość i rodzimość i przyczyny ograniczonego wyłącznie do kultury polskiej znaczenia, tak i tu dyskutanci omawiali rozmaite, w tym ekonomiczne i polityczne przyczyny, z powodu których artystom polskim nie udało się zyskać europejskiego rozgłosu, sławy na jaką zasługiwali. A może krakowska wystawa-rekonstrukcja mogłaby jak tamte z roku 1902, 1906, 1908, odwiedzić Wiedeń, który przecież kultywuje tradycje secesji i środkowoeuropejskie sentymenty?

Starannie wydany katalog wystawy zawiera ważne materiały dotyczące „Sztuki”, w tym jej statut i skład. Przy okazji chcę wskazać na niewielki „polonistyczny” błąd w części katalogowej wydawnictwa. Jan Bukowski jest autorem okładki do tomu *Plomienie* wydanego pod pseudonimem Liliana, ale nie była nią, jak mylnie informuje zresztą karta katalogowa Biblioteki Jagiellońskiej, Maryla Wolska, lecz mało znana poetka Flora Hufnagel; pseudonimu Liliana używała też równie jak ona zapomniana Zofia Wolska, co tłumaczy mechanizm pomyłki.

Z katalogu wystawy pochodzi reprodukcja słynnego plakatu Wyspiańskiego, afisza, który w swej pierwotnej wersji towarzyszył legendarnej inscenizacji *Wnętrza* Maeterlincka, zaś w roku 1908 i 1913 posłużył jako plakat wiedeńskiej i berlińskiej wystawy „Sztuki”.



KRAKAVER KUNSTLERVEREIN
"SZTUKA"

KUNSTLERHAUS-AVSTELLUNG BERLIN W.
BELLVESTR. 3. VON 10-6 VHR. 1 Mk.

INSTYTUT FILOLOGII POLSKIEJ UJ ogłasza nabór na dwuletnie Studium Literacko-Artystyczne

Przy Uniwersytecie Jagiellońskim istnieje od ubiegłego roku, przy współdziałaniu krakowskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, „Dekady Literackiej” i „NaGłosu” pierwsza w Polsce Szkoła Pisania (Studium Literacko-Artystyczne), przygotowująca do szeroko rozumianej pracy twórczej. Zajęcia prowadzone są w sposób niekonwencjonalny, przez wybitnych pisarzy, poetów, krytyków itp. Program studiów obejmuje m.in. warsztaty prozatorskie, poetyckie, dramatyczne, zajęcia z zakresu krytyki literackiej, redagowania pisma literacko-artystycznego i wiele innych.

Studia są płatne, trwają dwa lata, zajęcia odbywają się co dwa tygodnie, w piątki i soboty.

Zgłoszenia do 10 września br. przyjmuje Sekretariat Instytutu Filologii Polskiej UJ:

31-007 Kraków, ul. Gołębia 16, tel. 22-10-33 w.347.

V Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego

Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego oraz Katedra Literatury Romantyzmu i Literatury Współczesnej Uniwersytetu Łódzkiego ogłaszają ogólnopolski konkurs na zestaw poetycki. Do udziału w Konkursie zapraszamy Autorów, którzy nie mają jeszcze w dorobku poetyckim publikacji książkowej. Będziemy rozpatrywać jedynie utwory dotąd nie nagradzane i nie publikowane.

Zestaw poetycki, o łącznej objętości do 100 wersów, należy oznaczyć godłem. Tym samym godłem prosimy oznaczyć także dołączoną do zestawu zaklejoną kopertę, w której będzie imię, nazwisko i adres Autora oraz odcinek potwierdzenia wpłaty 10 zł (dziesięć złotych) na konto Stowarzyszenia: PBG SA I OI Łódź, 344609-3809.

Prace należy nadsyłać w trzech egzemplarzach maszynopisu do dnia 10 grudnia 1995 r. na adres: Śródmiejskie Forum Kultury, 90-056 Łódź, ul. Roosevelta 17 z dopiskiem na kopercie V Konkurs Poetycki o Nagrodę im. K.K. Baczyńskiego.

Rozstrzygnięcie Konkursu i wręczenie nagród nastąpi 23 stycznia 1996 r. O dokładnym miejscu i czasie uroczystości laureaci będą powiadomieni listownie. Werdykt jury zostanie następnie opublikowany w prasie. Decyzję o rozdzieleniu nagród i wyróżnień oraz ich wysokości jury podejmie na posiedzeniu zamykającym Konkurs. Organizatorzy nie odsyłają nadesłanych prac.

Książki nadesłane

Stanisław Stabryła *Mitologia dla dorosłych*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa-Kraków 1995.

Napisana przez znakomitego znawcę literatury antycznej i uszeregowana w trzy cykle — *Bogowie*, *Herosi*, *Ludzie* — *Mitologia...* ma na celu, jak czytamy we wstępie, ukazanie mitologii greckiej „w jej prawdziwym bliskim przekazowi antycznemu wymiarze, i na przekór owym cukierkowym, wyidealizowanym opowiastkom”. Bowa „w tym cudownym świecie mitu zdarzały się wprawdzie morderstwa, kradzieże, zdrady, gwałty i uwiedzenia (...). Ambicją Autora nie było tworzenie jeszcze jednego systematycznego wykładu mitologii greckiej, ale swobodna renarracja bardziej interesujących opowieści mitologicznych”.

Andrzej Zawada *Dwudziestolecie literackie*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.

„Nigdy przedtem i nigdy potem nie zdarzył się w polskiej kulturze fenomen tak bujnego życia literackiego. Lata 1918-1939 były w dziejach naszej kultury wyjątkiem. Barwnym, radosnym i złożonym. Między kolejnymi trudnymi lekcjami historia podarowała nam pauzę, podczas której mogliśmy zabawić się w normalność” — twierdzi profesor literatury XX wieku na Uniwersytecie Wrocławskim, autor tego niezwykle kompilacji, zaopatrzonego w liczne ilustracje oraz nowoczesny układ tematyczny i typograficzny.

Ze *skarbicy midrasz*, wybrał, przetłumaczył i opracował Michał Friedman, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.

Piękna antologia midrasz i dzieł agadycznych pokazujących głębsze znaczenie tekstów Starego Testamentu za pomocą takich gatunków literackich jak baśń, przypowieść czy przykład. Midrasz nie odebrał Biblii prostego, znaczeniowego komentarza, ale na dodatek odsłonił przed nami cały jej tajemniczy świat. Czytelnicy znajdą w tych pięknych opowieściach źródło poezji, mądrości, praw i praktycznych wskazań aktualnych w każdym czasie.

KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY
wyraża podziękowanie Fundacji im. Stefana Batorego za wsparcie finansowe działań promocyjnych na rzecz DEKADY LITERACKIEJ

KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY dziękuje Ministerstwu Kultury i Sztuki za pomoc finansową przy wydawaniu DEKADY LITERACKIEJ

TERESA WALAS: Zaczniemy od pointy, później zgodnie z zasadami kompozycji będziemy się cofać w głąb wydarzeń. Oto otrzymałeś nagrodę, mianowicie...

KAROL LESMAN: Nagrodę Aleidy Schot, przyznawaną tłumaczom z języków słowiańskich. Nagroda ta wręczana bywa co dwa lata, od roku 1981 a jej fundatorką jest właśnie pani Aleida Schot, która była tłumaczką z literatury rosyjskiej, głównie Puszkina. Umarła w r. 69, żyła samotnie, zostawiła trochę pieniędzy i chciała je przeznaczyć na taki właśnie cel: nagrodę dla tłumaczy z języków słowiańskich. Powstał zarząd, który jakimś sposobem powiększył zostawioną przez nią sumę, i po piętnastu latach zdecydowano, że czas na przyznanie pierwszej nagrody. W tym roku po raz pierwszy przyznano ją za przekład z języka polskiego.

Za co konkretnie ją dostałeś?

Za tłumaczenie *Nienasyceńca* Witkacego.

W takim razie zaczniemy się cofać. Jak zostałeś tłumaczem z języka polskiego? Po pierwsze: skąd znajomość języka?

Właśnie stąd, z tego miasta. Podczas dwóch staży, które w sumie objęły około dwu lat, nauczyłem się w miarę dobrze mówić po polsku, natomiast polonistykę zacząłem studiować w Amsterdamie. Sięgając zaś głębiej: mój ojciec był Polakiem, ja urodziłem się już w Holandii, matka była Holenderką; jej powierzył ojciec wychowanie dzieci i zostaliśmy wszyscy, ja i moje rodzeństwo wychowani na Holendrów.

Czyli nikt spośród twojego rodzeństwa nie mówi po polsku?

Owszem, mój brat, który ożenił się z Polką, moją znajomą stąd, z Krakowa, i dosłownie z dnia na dzień zaczął mówić po polsku, co wprawiło mnie we wściekłość, bo mnie zajęło to siedem lat!

Oto dowód, że miłość czyni cuda także językowe! Co spowodowało, że zacząłeś uczyć się polskiego, że ta kultura, w gruncie rzeczy obca, stała się w twoich oczach atrakcyjna?

Może jeszcze na chwilę powrócę do mojego oca. Po wojnie został w Bredzie i postanowił, że nie wróci do Polski. Ta decyzja nie była łatwa, bo miał w Polsce rodzinę. Po śmierci brata, który zginął jako partyzant, był jedynym synem chłopca z bydgoskiego. Dziadek bardzo liczył na jego powrót. Ale żona Holenderka na pewno nie chciała jechać do Polski. To wszystko wydaje się dość oczywiste. Ale prawdziwą historię mojego ojca poznałem dopiero niedawno. Opowiedział mi o tym dopiero na łożu śmierci (zmarł trzy miesiące temu). Wtedy po raz pierwszy rozmawiał ze mną po polsku. Dotąd zawsze mówiliśmy po holendersku, nie tylko w domu, w Holandii, także tutaj w Polsce.

Czy potrafisz odpowiedzieć sobie, dlaczego?

Nie, nie do końca. Myślę, że jakaś część odpowiedzi zawarta jest w tej jego historii. Mój ojciec czuł się przez całe życie winny. Jako młody chłopiec został wraz z rodziną wzięty do niewoli i wszyscy znaleźli się w jakimś obozie. Było to w Poznańskim i obóz dopiero się budował. I tam mój dziadek dowiedział się od swojego znajomego, że jeśli syn zgodzi się wstąpić do Wehrmachtu, reszta rodziny będzie mogła wyjść na wolność. Tedy dziadek mój zapytał ojca, który miał wówczas szesnaście lat, czy zgodzi się podpisać taką listę. Ojciec zgodził się i wszyscy pojechali do Niemiec. Wcielony do Wehrmachtu wylądował na Sardynii, gdzie na szczęście nie toczyła się wojna i nie musiał zabijać. Gdy przerzucono ich pod Neapol, by bronić miasta przed aliantami, ojciec poddał się i został wzięty do niewoli. Znalazł się w Afryce, potem w Szkocji i tak dostał się do dywizji generała Maczka. Tę historię nosił w sobie przez czterdzieści lat i nikomu o tym nie mówił, ani żonie, ani nam dzieciom. Nie brał też udziału w emigracyjnym życiu politycznym. Na początku był związany z PSL-em, dawnym, ale szybko się z tego wycofał. Więc można powiedzieć, że zamknął w sobie polskość, trochę tak jak zasklepia się ranę i stał się Holendrem. Nie tylko nie nakłaniał mnie do polonistycznych studiów...

Co zrozumiałe z praktycznego punktu widzenia...

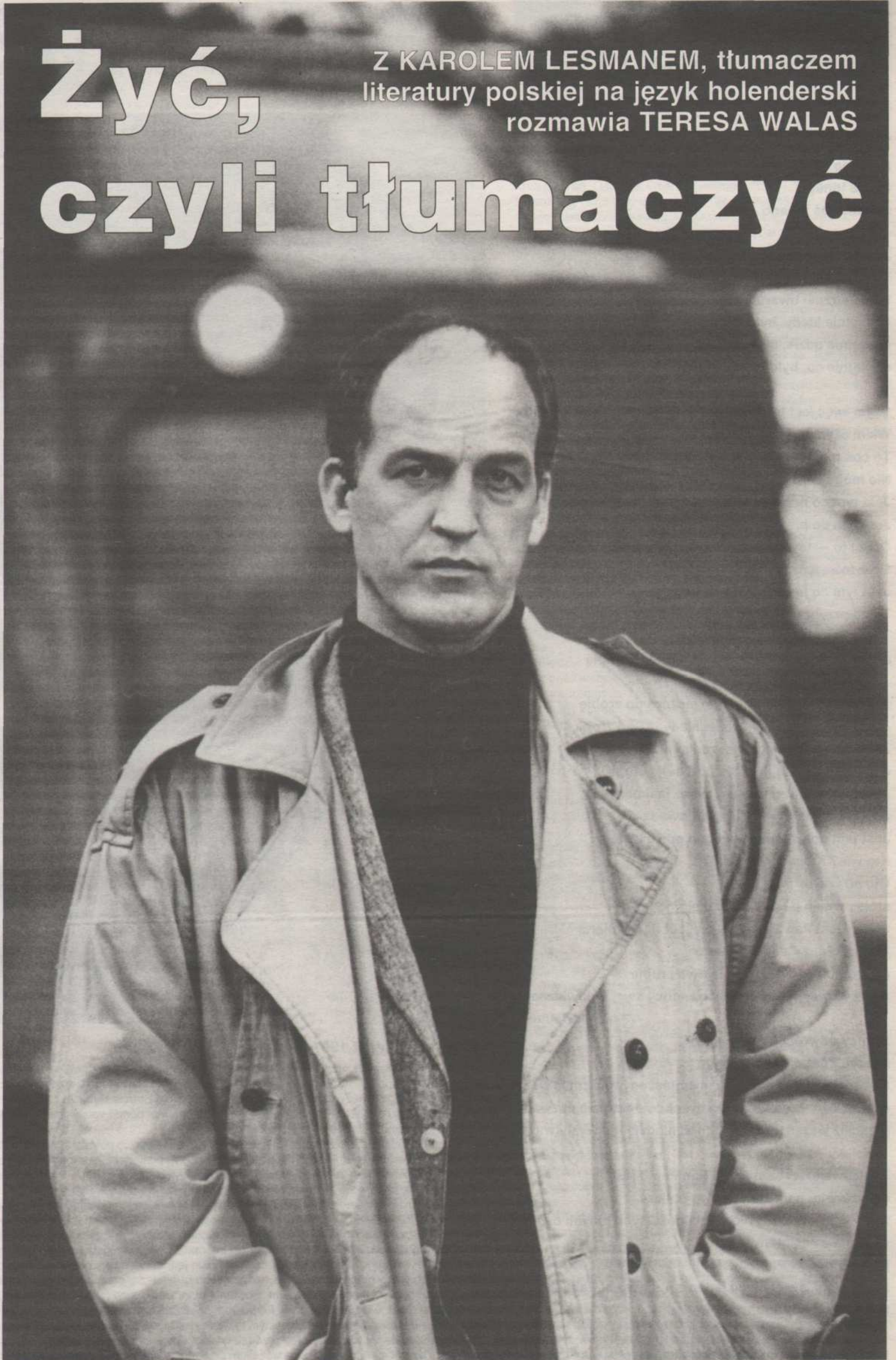
...ale wyraźnie nie był zadowolony, gdy je podjąłem. Choć, gdy zostałem już tłumaczem, gdy widział tłumaczone przeze mnie książki (choć ich nie czytał), czułem, że jest ze mnie dumny. Ale nigdy nie powiedział mi tego wprost...

Jak więc to się stało, że pomimo braku jakiegokolwiek zachęty ze strony ojca zacząłeś studiować polonistykę, zamiast zostać zamożnym inżynierem, prawnikiem albo bodaj agronomem?

Mając dwanaście lat przyjechałem po raz pierwszy do Polski z całą rodziną i wtedy po raz pierwszy usłyszałem ten język, poczułem te zapachy, zobaczyłem ten krajobraz. I to były dla mnie drugie narodziny. To mi wystarczyło na całe życie. Potem wielokrotnie przyjeżdżałem do Polski, czy raczej do niej wracałem. Zakochałem się w mojej kuzynce, nieco ode mnie starszej. Rozmawiałem z nią, korespondowałem nieco łamaną polszczyzną. Dostałem od babci dwieście złotych, za które kupiłem słownik angielsko-polski do dziś przeze mnie używany i wtedy postanowiłem studiować polonistykę. Co, gdy ja zacząłem studia, było możliwe tylko jako drugi przedmiot w ramach języków słowiańskich. Przedtem uczyłem

Żyć, czyli tłumaczyć

Z KAROLEM LESMANEM, tłumaczem literatury polskiej na język holenderski rozmawia TERESA WALAS



Karol Lesman

Fot. Maurice Boyer

Anders Bodegård

– Głos wydobywać trzeba z trzewi! – krzyczy logopeda

Tłumaczył ze szwedzkiego Jan Rost

ANDERS BODEGÅRD

— jeden a najwybitniejszych tłumaczy szwedzkich.

Kiedy jechałem dolarową taksówką ze Świnoujścia do Szczecina-Dąbie, czułem ssanie w żołądku, głód jeszcze nie prawdziwy, ale już przecucie. Czekala mnie podróż pociągami, długa, o suchym — ani chybi — pysku. W bufecie stacyjnym, gdzie je się na stojąco, samotna bufetowa proponowała jedno danie: ozór w sosie szarym. Ciężko i w milczeniu postawiła go przede mną — on był też ciężki i milczący. W tym tygodniu skończyły się noże, dostałem więc tylko widelec, aluminiowy, z odłamanym zębem. Przy pomocy widelca nic z niego nie wyduszę; nie zdołam go tym bardziej połknąć. Za ostatniego dolara dostałem jakiś nóż, ostatni, z odłamanym ostrzem. Zadzwonił o talerz.

Leżał przede mną kawał mięśnia i parował. Dająca się formować nieforemność, cała w błonie śluzowej: brodawki, gęsia skórka i kubki smakowe. Jego giętkość i milimetrowa dokładność, kiedy zamyka drogę powietrzu, tak aby modulować samogłoski, wydobyć syczące spiranty, wybuchowe spółgłoski zwarte, płynne lateralne i dźwięczne, wibrujące — myślałem o nich krając ozór na kawałki i przeżuwać, wolno i dokładnie, uważnie, by się najeść, ale nie zadławić.

W dziesiątym rozdziale Apokalipsy stoi napisane: „A głos, którym słyszał z nieba, zasię mówił ze mną, i rzekł: Idź, a weźmij te książeczki otworzone z ręki Anioła stojącego na morzu i na ziemi. I szedłem do Anioła, i rzekłem mu: Daj mi te książeczki. I rzekł mi: Weźmij, a zjedz je, a uczynią gorzkość w brzuchu twoim; ale w ustach twoich będą jak miód. I wzięłem książeczki z ręki Anioła i zjadłem je, a były w ustach moich słodkie jak miód; ale gdy je zjadł, gorzko było w brzuchu moim. I rzekł mi: musisz zasię prorokować przed wielą ludzi, i narodów i języków i królów”.

Dopiero w dwudziestym pierwszym rozdziale znajdziemy zakończenie. Głos mówi: „Napisz: bo te słowa są wierne i prawdziwe”.

Tłumacz jest rurą, i rezerwuarem, od którego — gdy pełny — znów odchodzi rura.

Głos jest jak niewidoczny wygląd: słyszysz — i jednocześnie czujesz go w dotyku. Smakuje i pachnie.

Gimnosofista

To co mam na myśli
to czego pragnę
to coś innego
zawsze coś innego —

Zewnętrzne¹ uwarunkowania człowieka:
Teraz, tutaj, to tylko fakt, fakt
Wewnętrzne² uwarunkowania człowieka:
Obojętnie kiedy, byle nie teraz
obojętnie gdzie, byle nie tutaj
obojętnie co, byle nie to —

Czym więc jest to czego pragnę? To co mam na myśli?
Wiem czym to jest — i nie wiem wcale!
To coś nie ma nazwy, miejsca ni przymiotów
Nie mogę tego przywołać ani wytłumaczyć
Jest tym co przybiera nazwę, wtedy kiedy wołam
Jest tym co przybiera sens, wtedy gdy wyjaśniam
Otóż i to — lecz zanim zdążyłem zwołać
Otóż to — lecz zanim zacząłem wyjaśniać
Jest tym co jeszcze nie przybrało nazwy
To co przybrało nazwę nie jest już czymś innym —

Jest o krok do przodu, nim jeszcze go zrobię
Jest o krok do tyłu, kiedy już go zrobię
Jest o krok w tę stronę, nim jeszcze go zrobię
Jest o krok w drugą stronę, kiedy już go zrobię
Jest tuż nad moją głową, zanim nią uniosę
a kiedy ją uniosę, jest tuż pod moją stopą
Jest jak ten owad ścigany przez jaskółkę
Jest jak ta jaskółka ścigająca owada
Jest tam gdzie byłem, był tam gdzie jestem
Kto wie? Kto wie? Kto wie?
Oto co wiem
stojąc w tym bagnie na jednej nodze:
Święty jest Pan Życia, święty jest Pan Śmierci
Z mocy Pana Czegoś Innego
czterogłowego bóstwa obydwa profile
z mocy swej połowiczności, z mocy swej połowicznej
niewidzialności

z mocy odwróconego oblicza
z mocy Pana Czegoś Innego
niewidziany, niewidzialny, nie głoszony w pismach
a przecież wszędzie wzywany, choć dotąd nie nazwany
przecież wszędzie znany, choć nigdzie nie wyznawany!

W nieświętości sam jeden Pan Faktu jest
on, który ku nam zwraca swe oblicze
z mocy połowicznej niewidzialności tych innych dwojga
widzialnie wielbiony
jak Pan Życia i Pan Śmierci
lecz święty, święty sam jeden z mocy swej Pan jest
Pan Czegoś Innego!

Lecz ta największa tajemnica i tak
gdzie indziej jest strzeżona
zawsze gdzie indziej —

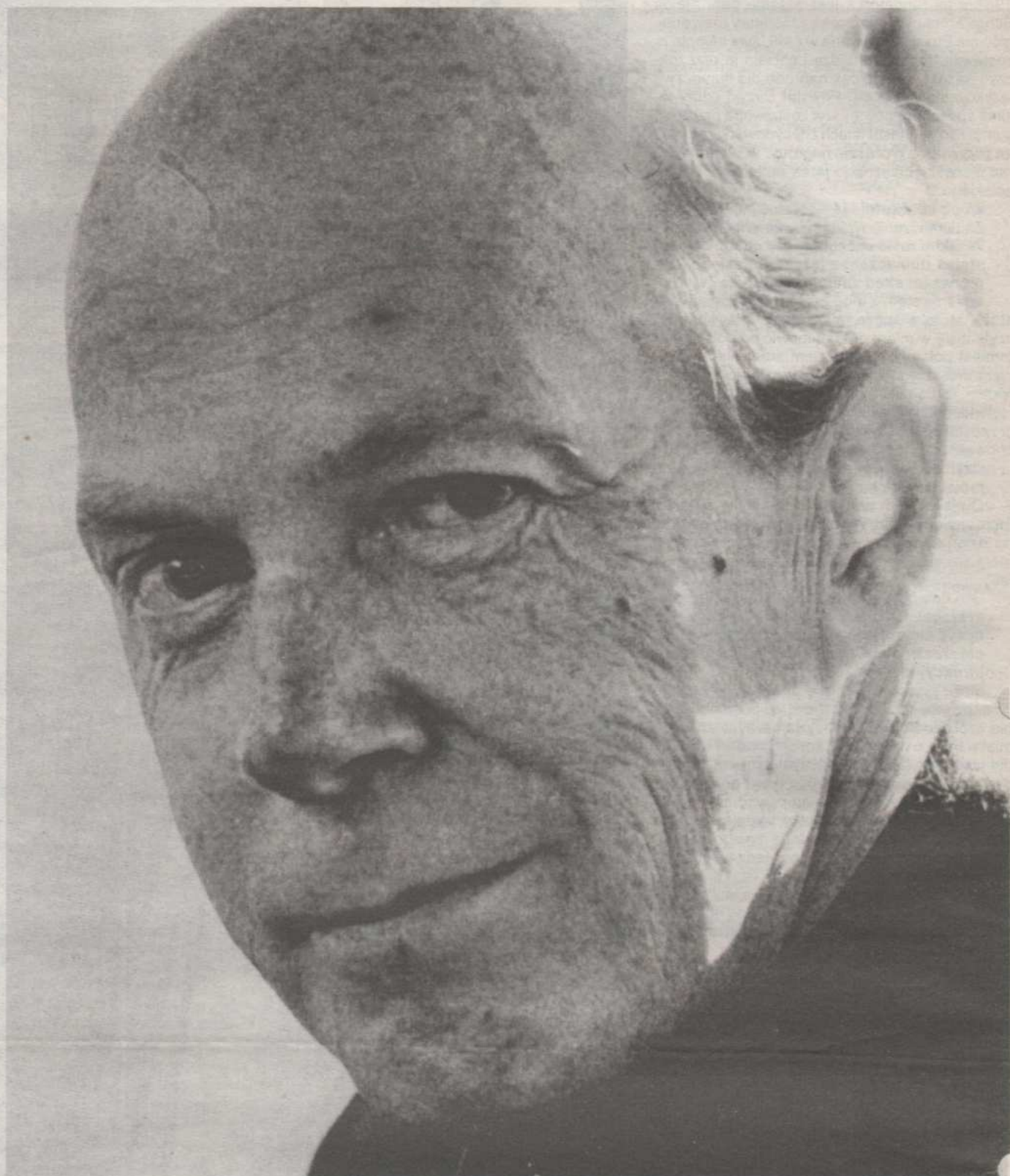
Czapło, bocianie, flamingu
o ptaki przemądre
stojące tu wokół mnie o pierwszym brzasku
wśród budzących się kwiatów
stojące w tym bagnie na jednej nodze.

(*Non serviam*, 1945)

¹ wewnętrzne

² zewnętrzne

Gunnar Ekelöf



Fot. Archiwum

Gunnar Ekelöf 1907-1968

Jeden z najbliższych przyjaciół Gunnara Ekelöfa wspomina dom poety w Sigtunie, jego pokój, łóżko — i wiszący nad nim rząd ikon. Najgłębiej zapadła mu w pamięć ikona przedstawiająca świętego Jerzego. Dosiadający białego rumaka rycerz mierzy swą lancą w smoka, a z odległej wieży na scenę tę spogląda dziewica. Starcie Rycerza ze Smokiem to odwieczna walka dwóch przeciwnych sobie sił: dobra i zła, tezy i antytezy; bój toczący się o kogoś, kto stoi ponad wszelkimi przeciwieństwami — o Dziewicę. Ten alegoryczny obraz jest ważnym kluczem do świata poezji Ekelöfa.

Gunnar Ekelöf jest dziś uważany za jedną z najwybitniejszych postaci szwedzkiej literatury. Mówi się o nim: „wielki Modernista”, „Mistyk”, „Outsider”. Rzeczywiście, Ekelöf był doskonałym poetą, posiadał też ogromną wiedzę o sztuce, muzyce, religii, filozofii; był wreszcie upartym samotnikiem, który za swoją dewizę obrał „Non serviam” Lucyfera, a nazywał siebie Żydem, Lapończykiem, Dzikusem. Być może dlatego stał się w Szwecji postacią niemalże kultową: „świętym Ekelöfem”, ikoną.

Dziś już mało kto pamięta, że jak surową krytyką spotkał się jego debiut poetycki, tomik *sent på jorden* (1932, „późno na ziemi”). Wiersze, które Ekelöf zaprezentował swoim czytelnikom były niezwykle trudne, łączyły hermetyczny modernizm Stefana Mallarmé z językową anarchią surrealizmu. Marzenia o utracie podmiotowości i mistycznym zjednoczeniu się z nicością odzywały się na przemian z nihilistyczną, destrukcyjną pasją. Eksperymentalna forma poematów przypominała kompozycje muzyczne — czasem stonowane, kiedy indziej pełne wewnętrznej motoryki. Gunnar Ekelöf zdawał sobie jednak sprawę, iż tak radykalna poetyka szybko wyczerpie swe możliwości, dlatego w kolejnych zbiorach poezji postanawia nadać utworom gładszą, bardziej tradycyjną formę. Modernistyczne antytezy integruje teraz romantyczna wyobraźnia śniącego podmiotu. Powstają m.in. *Dedication* (1934, „Dedykacja”) i *Sorgen och stjärnan* (1936, „Smutek i gwiazda”).

W roku 1941 ukazuje się tomik *Färjesång* („Pieśń na promie”), dzieło ważne, podejmujące mistyczną ideę przewyciężenia przeciwności a przemawiające przezroczystym językiem buddyjskich sutr, w których słowa układają się często w melodie, przypominające indyjskie ragi. Pojawia się również obraz przedstawiający Rycerza, Smoka i Dziewicę. „Życie nie jest walką Smoka i Rycerza” — pisze Ekelöf — „ono jest Dziewicą”. A jest ona poza wszelkim orzekaniem, niepojęta, nieskończenie odległa, choć jednocześnie stale obecna, wyczuwalna. Istotą tego, o czym chce mówić poeta trudno nawet wyrazić językiem paradoksów, twierzeń i przeczeń, dlatego po zbiorach *Non serviam* (1945) i *Om hösten* (1951, „Jesienią”) Ekelöf próbuje innej strategii. W tomie *Stroutnes* (1955, „Błahostki”) prezentuje zbiór poetyckich fragmentów, baśni, dziwnych przypowieści a nawet zabaw słownych, bliskich Joyce’owi i Morgensternowi. Aby wypowiedzieć niewypowiedalną Jedność, słowa upraszczają się, tracą swoje „ratio”, krążą wokół absurdu i milczenia. Pięć lat później powstaje *En Mölna-elegi* (1960, „Młna — poemat elegijny”), duża, wielogłosowa kompozycja słowna, której rozproszone wątki — wspomnienia śniącego „ja” — jednoczą tematy wody i ognia.

Przez ostatnie lata swego życia Ekelöf pracował nad większym cyklem poetyckim, w którego skład weszły trzy części: *Divan över fursten av Emgion* (1965, „Dywan o księciu Emgionu”), *Sagan om Fatumeh* (1966, „Baśń o Fatumeh”) oraz *Vägvisare till underjorden* (1967, „Przewodnik po czeluściach”). Centralną postacią owej trylogii jest Dziewica z Ognia i Nicości. Jej ikona staje się obiektem uwielbienia; oblubieniec obdiera ją ze wszystkich atrybutów, ale zarazem jednoczy się z nią w ekstazie przebóstwienia. Do głosu dochodzą tu fascynacje Ekelöfa — teologią apofatyczną, sztuką bizantyjską i mistycznymi traktatami Ibn ‘Arabiego. W końcowych strofach *Djävulspredikan* („Kazania diabła”) — centralnego utworu w *Vägvisaren till underjorden* — wielbiącemu ikonę Dziewicy udzielona zostaje faska i spogląda on teraz w jej obraz jak w lustro: Ogień jednoczy się z Niedotykalnym, obraz znika i pozostaje jedynie nieruchoma gładź zwierciadła. W 1967 roku lekarze stwierdzili u Gunnara Ekelöfa chorobę nowotworową. Ostatnie miesiące życia poeta spędził w swoim domu w Sigtunie.

Prezentowane tu wiersze Gunnara Ekelöfa należą do najważniejszych, ale i najtrudniejszych w jego dorobku. Sławna *Absentia animi* pozostaje do dziś jednym z najbardziej intrygujących wierszy szwedzkiego modernizmu. Utwór ten doczekał się wielu ciekawych interpretacji. Dostrzegano w nim wpływy T.S. Eliota (zwłaszcza z *Burnt Norton*), związki z hermetycznymi modlitwami gnostyków i równie tajemniczą różnią Derridy. Jednakże oba wiersze bronią się przed jednoznacznymi interpretacjami i podobnie jak muzyczne arcydzieła nie odsyłają do żadnego „programu”. Są grą trzech tematów: „tak” świętego Jerzego, „nie” Smoka i „poza” Dziewicy, ale niczym w zatartym obrazie alegorycznym, niemożliwe staje się przejście od literalnego sensu powierzchni, do tego, co obecne jest poza słowami.

Absentia animi

Jesienią
 Jesienią gdy przychodzi się rozstać
 Jesienią gdy wszystkie otwarto już wrota
 na bezsensowne wygony
 gdzie gniją urojone grzyby
 i woda w koleinach jest w drodze
 do Nikąd, i ślimak jest w drodze
 do Nikąd, które jest przekwitłą różą
 tą najmniejszą i najbrzydszą. I komary,
 diabelskie nasienie
 kruchonogie, oszołomione blaskiem wieczornej lampy
 a sama lampa szmerze coraz ciszej
 o pustym morzu światła i polarnym morzu myśli
 które piętrzy fale
 pieniąc się i sycząc
 szeregi dzieli przez szeregi
 z Nikąd przez Nicość do Nikąd
 za tezę antyteza synteza abrasax abrasax i Teza
 (staccato maszyny do szycia)
 I tkają w ciemności swe sieci pająki a noc taka cicha
 i świerszcze żałośnie rzepolą
 Bez sensu
 Rojenia. Bez sensu.

Jesienią
 W moim wierszu słycać szelest
 Słowa spełniają swoją powinność i zamierają
 Pokryte kurzem, kurzem albo rosą
 aż podmuch wiatru uniesie się, porwie i położy (je)
 (a) gdzie indziej
 ten, kto partout szuka sensu wszechświata
 dawno zrozumiał sens szeleszczenia
 bo jest nim szelest
 a on sam w sobie to coś innego niż
 mokre kalosze po liściach
 rozkojarzone kroki w parku po dywanie
 z liści, klejących się tak przyjacielsko
 do mokrych kaloszy, rozkojarzone kroki
 Błądzisz i błąkasz się
 o co ten pośpiech
 Przystań na chwilę
 Poczekaj
 Jesienią gdy
 Jesienią gdy wszystkie otwarto już wrota
 czasami w ostatnim ukośnym strumieniu światła
 po długim deszczu
 nieśmiało, co chwila milknąc
 jakby trochę zaskoczony
 jakiś szpak pozostawiony sam sobie
 na wierzchołku drzewa zagwiżdże
 Myśląc tylko o śpiewie nie myśląc o celu. Widzisz
 ten wierzchołek drzewa na tle białego nieba
 i obok niego samotny obłok. A obłok ten płynie
 jak inne obłoki, choć zdaje się być też opuszczony,
 hors saison
 a w swej istocie od dawna gdzie indziej
 a w głębi siebie (jak śpiew) jest już czym innym
 niż
 Wieczny odpoczynek
 Bez sensu. Rojenia.
 Bez sensu. A ja
 siedzę tu śpiewam
 o niebie i o obłoku
 Chcę tylko tego niczego więcej
 Chcę być stąd daleko tak bardzo daleko
 Jestem tak bardzo daleko (a wokół mnie echa wieczoru)
 Wciąż jestem tutaj
 za tezę antyteza abrasax
 Ty również ja

O tak daleko daleko stąd
 po rozjaśnionym niebie
 nad wierzchołkiem drzewa
 płynie obłok w szczęśliwej
 nieświadomości!
 O w najgłębszej mojej głębi
 perłowoczarne lustro oka
 w szczęśliwej półświadomości
 odbija obraz jakiegoś obłoku!
 To jest różne od tego co jest
 To jest coś innego
 To jest w tym co jest
 a jednak różne od tego co jest
 To jest coś innego

O tak daleko daleko stąd
 w tym co jest poza
 jest coś bliskiego!
 O w najgłębszej mojej głębi
 w tym co bliskie
 jest coś poza
 coś pozabliskiego
 w tym co tu-a-daleko
 coś ani takiego ani takiego
 w tym co albo:
 ani nie jest obłokiem ani nie jest obrazem
 ani nie jest obrazem ani nie jest obrazem
 ani nie jest obłokiem ani nie jest obłokiem
 ani nie ani nie
 jest czymś innym!
 Jedynym istnieniem
 jest coś innego!
 Jedynym istnieniem
 w całym istnieniu
 jest coś innego!
 Jedynym istnieniem
 w całym istnieniu
 jest to co w nim samym
 jest inne jeszcze
 to coś innego!
 (O kołysanko duszy
 ty która śpiewasz
 to coś innego!)

O
 non sens
 non sentiens non
 dissentiens
 indesinenter
 terque quaterque
 pluries
 vox
 vel abracadabra

Abraxas abrasax
 za tezę antyteza synteza staje się tezą
 Bez sensu.
 Rojenia. Bez sensu.

I tkają w ciemności swe sieci pająki a noc taka cicha
 i świerszcze żałośnie rzepolą

Jesienią

(*Non serviam*, 1945)

Przekład Piotr Bukowski

Maja Jurkowska Cioran. Wytrwałość nihilizmu

Dziś... 20 czerwca 1995 r., kilka godzin po ukończeniu tego artykułu, wiadomość o śmierci Emila Ciorana.

Ostatnio we Francji ukazał się w wydawnictwie Gallimard obszerny zbiór pism filozofa pochodzenia rumuńskiego Emila Ciorana (*Cioran, Oeuvres*, Quarto, Gallimard, 1995). Wydarzeniu temu towarzyszy istna lawina artykułów. W grudniu 1994 r. najlepszy fachowy miesięcznik literacki „Magazine Littéraire” poświęcił Cioranowi specjalny numer. Ponadto Gallimard wydał wywiady z myślicielem (336 str.), a Michalon opublikował książkę *Itinéraire d'une vie* Gabriela Liéanu, tłumaczenie z rumuńskiego.

Co pociąga Francuzów w ponurej refleksji nihilisty? Wszak wolał oni niewątpliwie Marivaux niż Dostojewskiego, bliższy jest im Wolter niż Nietzsche. Owszem, szczytą się heroicznym egzystencjalizmem Alberta Camusa, lecz cierpienie zamieniają raczej w syllogizm. Cioran jest akrobatą myśli i słowa, potrafi przekształcić pustkę i mękę w aforyzm. To Francuzi lubią z pewnością. Jednak jego język jest obcy mowie francuskiej, to jakby przełożony rumuński. Fraza Ciorana jest giętka, ma zaskakującą melodię słów, pułapki znaczeń. Jest to język nieforemny i płynny. Ta niekształtność właśnie stanowi niezgłębione bogactwo, gdyż otwiera słowo na niewiadome. U Ciorana myśl nie zamiera w formalizmie zdań, nieomal wyprzedza słowa i zdumiewa słusnością paradoksów. Obcość Ciorana jest intrygująca i stąd może bierze się zainteresowanie jego twórczością i życiem. Myślę, że jest to wyjątkowy człowiek potrafiący zachować bezkompromisowość. Cechy jego umysłu i charakteru znamionuje prawda i konsekwencja. Cioran nie traktuje filozofii jako ekwilibrystyki, lecz jako sposób istnienia. Przestał pisać przed dziesięcioma laty. Uznał, że jest to zgodne z jego wewnętrznym przekonaniem. Uprawianie nihilizmu jest nużące. Z pewnością Cioran musiał zadać sobie pytanie, czemu służy, co zrobić, by nie stało się zawodową rutyną? Co zrobić więc, by zachować uczciwość wobec samego siebie? Jego sceptycyzm wyczerpał już swoją siłę ekspresji. Pesymizm Ciorana nie domaga się więcej słów poza cierpliwością zwykłej egzystencji, co jest sztuką najtrudniejszą dla filozofa i dla każdego człowieka.

Śledząc koleje jego życia, można dojść do wniosku, że Cioran ceni ponad wszystko niezależność; niezależność od wszelkich układów zewnętrznych, społecznych rang i honorów. Woli żyć na ubożcu, choć i ponosić tego skutki.

Sława przyszła dość późno. Mówi, że nigdy na nią nie czekał. Pojęcie kariery jest mu obojętne, dlatego wybiera dobrowolne milczenie, skromne życie, odmawia przyjmowania nagród.

Urodził się 8 IV 1911 r. w Rasinari, małej miejscowości w Karpatach. Dzieciństwo było dla niego prawdziwym rajem. Kochał góry, samotne wędrowki, czuł wtedy całkowitą swobodę i radość w obcowaniu z naturą. W wieku 10 lat opuszcza wioskę. Potem wszystko wydawało mu się już nudne, przeciętne i uciążliwe. Pozostał mu smak utraty, za zawsze. Młodość streszcza w kilku nowych doświadczeniach — domy publiczne, biblioteki, bezsenność, spotkanie z dziwnym filozofem bez dzieła. Czyta zapamiętałe Balzaka, Flauberta, Diderota, Nietzschego, Schopenhauera, a zwłaszcza Dostojewskiego.

Najdotkliwsze przeżycie jednak to bezsenność, jakby życie bez odrodzenia, nieznośne w swej monotonii. Czas bez zapomnienia. Niczym bez końca. Jak można zatem nie stracić nadziei? Jak nie poddać się znużeniu niewyczerpanej nocy?

Cioran tworzy swoją filozofię idąc za głosem ciała, fizjologii. Prawa te są bezwzględne i niezakłamane. Odczuwa rozpacz bezsenności, ból i zmęczenie.

Bezsennosc okresu młodzieńczego widzi jako główny dramat swojego życia i źródło wszystkich własnych refleksji.

W ciągu długich nieprzespanych nocy myśli o samobójstwie. W ciemnych zaułkach Sibiu spotyka pewnego człowieka. Spacerują aż do rana rozprawiając o życiu. Kim był tajemniczy nieznajomy? Cioran nazywa go największym filozofem-sceptykiem, jakiego spotkał. Nie Eliade, nie Ionesco, nie Beckett, nie Michaux uwilił jego myśli i siłę woli w takim stopniu jak ów prosty człowiek, Petre Tutea, który nic nigdy nie napisał.

Cioran notuje swoje przemyślenia w *Sur les cimes du désespoir*. Dla ojca, pobożnego popa, nihilizm syna jest rodzicielską klęską i hańbą.

W 1928 r. Cioran wyjeżdża do Bukaresztu. W czasie studiów filozoficznych wciąż czyta, jakby uciekając przed życiem. Konieczność pracy zarobkowej wydaje mu się katogą. Szuka niezależności skazując się na biedę. Początkowo pracuje jako wykładowca filozofii w liceum, lecz w Paryżu woli swobodę nędznej egzystencji. Zamiast kariery na Sorbonie wybiera przejażdżki rowerem po kraju. Postanawia wreszcie pisać w języku francuskim. Decyzja jest trudna i nader bolesna. Pracę nad pierwszym wielokrotnym przekładem wspomina jako prawdziwe cierpienie. Cioran mówi, że zmiana języka dla pisarza jest jak pisanie listu miłosnego ze słownikiem.

Witalność jego prozy polega na poetyckości stylu, spontaniczności i precyzji zarazem. Wyraża ona cały dramat narodzin myśli. Łączy liryzm języka rumuńskiego z rygiem języka francuskiego.

Opuszczenie raju dzieciństwa, ziemi rodzinnej i własnej mowy jest niewątpliwie bólem osierocenia, źródłem pesymistycznego światopoglądu i odczucia pustki. Sam styl Ciorana jest zatem znamienny, staje się sposobem budowania tożsamości, ocaleniem, wyrażnym kształtem nicości, którą określa.

Dziś Cioran uznawany jest za mistrza języka francuskiego. Jego eseje wyróżniają się szczególną urodą literacką, elegancją metafor, potocznością i finezją. Cioran zdobył wyjątkową świadomość języka dzięki doświadczeniu zaniechania twórczości w języku rodzimym.

Pierwsze dzieło francuskie *Précis de décomposition*, ukazuje się dopiero w 1949 r. Książka sprzedaje się słabo, jednak ma bardzo pochlebne opinie krytyków, zwraca uwagę Mauriaci i Maurois. W latach 50-tych Cioran przyjaźni się z Ionesco, Eliade, Adamovem. Bywa w sławnym salonie pani Tézenas du Montcel skupiającym głównie awangardę muzyczną. Nadal pozostaje autorem nieznanym, jada w stołówce uniwersyteckiej, mieszka bardzo skromnie, przedstawia

DOKOŃCZENIE NA STR 6

Jolanta Stefko

Dary?

P.S.

Z ręki do ręki podać
koszyk owoców, bochenek chleba,
słoik miodu o zapachu najlepszych dni lata,
najbarwniejszy bukiet.

Z ręki do ręki podać miłość, ludzie
powinni kochać siebie, świat,
(tzn. zapomnieć o tym że
życie to jedynie rachunek do zapłacenia)
(za
wszystko).

Z ręki do ręki podać ciemność,
łagodną niemal oswojoną —
już na zawsze
za bliską. Oprawić ją w ładną ramę,
powiesić na ścianie jak obraz. Z roku
na rok staje się coraz bardziej intensywna.

Z ręki do ręki podać wystygłą
kroplę krwi cierpiących niewinnie albo też
cierpiących za popełnione winy nie
ma specjalnej różnicy. Podać nic.

Deszcz

Deszcz. Dokładny, skuteczny,
tak czysta ulica, tak
czysty deszcz, moje ślady
(dokładnie, skutecznie). Spływają
ze mnie
strugi rozpuszczonej skóry.

DOKOŃCZENIE ZE STR 5

się jako przyjaciel Ionesco, korzysta z dyskretnej pomocy finansowej Becketta. W 1952 r. publikuje *Syllogismes de l'amertume* (w latach 70-tych książka ta w wydaniu popularnym „poche” staje się bestsellerem i zapewnia mu sławę). Niedługo potem ukazują się przekłady w Niemczech i Ameryce. W 1957 r. Cioran otrzymuje nagrodę Sainte-Beuve, której nie przyjmuje. Kolejne wydania dzieł francuskich mają dobre recenzje, lecz nie cieszą się dużym zainteresowaniem czytelników. W 1977 r. Cioranowi przyznano nagrodę Niemier za całą twórczość. Także i tego wyróżnienia nie przyjmuje. W latach 80-tych podróżuje do Aten, gdzie wygłasza odczyty. Publikacja *Exercices d'admiration* (1986 r.) jest sporym sukcesem. Pojawiają się tłumaczenia francuskie jego wczesnych dzieł rumuńskich.

Cioran uprawiał esej filozoficzny i aforystykę. Nie stworzył właściwie żadnego systemu. Jego dzieło wpisuje się w nurt francuskiej tradycji, filozofii na pograniczu literatury, czym różni się zasadniczo od tradycji niemieckiej. Sam zresztą wyraża nieufność wobec filozofów i jest bliższy pisarstwu spojrzeniu na życie.

W młodości duży wpływ wywarli na niego mistycy, głównie Teresa z Avila. Jego kryzys duchowy polegał na zrozumieniu niedostępności wiary mimo przeżywania niepokojów religijnych. Nihilizm Ciorana nie jest programowy. Uważa on, że pogodzenie się z pustką pozwala znieść cierpienie. Wyciągnięcie radykalnych wniosków w określeniu swojego światopoglądu umożliwia przełamanie lęku nicości, niejako oswojanie się z koniecznością śmierci. Radzi nam, aby brakowi nadziei nadać proporcje normalności i unikać przejęskrawień. Filozof nie może pozwolić sobie na rozpacz, by zachować odporność w obliczu ciężaru egzystencji. Jego zasadniczą bronią wobec braku pojęcia sensu istnienia jest cierpliwość i sceptyczny dystans. Dalekie jest mu odczucie tragizmu. Jego filozofia jest odmianą stoickiej mądrości w całkowitym niezrozumieniu przeznaczenia. Jest to więc nie tyle droga myślowa, co kształtowanie życiowej postawy, nauka przyjmowania znanych już wniosków filozoficznych, nie odkrywanie pesymistycznej wizji świata, lecz życie razem z nią.

Myśl Ciorana jest wewnętrznie sprzeczna i filozof czyni z paradoksu wręcz zasadę. Tak jak chwiejne i nieobliczalne są nasze nastroje, tak i drogi myśli wymykają się racjonalnej kontroli. Cioran jest, jak sam mówi, załedwie „sekretnym swoim wrażeń”. Nie pretenduje do bycia obiektywnym. W tym sensie nie jest właściwie filozofem. Ostatecznie sprzeczność jest rezygnacją z jakiegokolwiek wyboru, a więc ustalenia sądu. Idąc dalej, można powiedzieć, że jest zaniechaniem życia. Nihilizm myśliciela uzasadnia już sam zmienny proces wyłaniania się refleksji, który unicestwia jednoznaczne uogólnienia.

Cioran wydaje się rozgoryczony własną sławą. Sukces nie jest jego celem. Dziwi go popularność dzieł, które ocenia w swoim dorobku jako drugorzędne, jak na przykład *Ecartélement*. Zaakceptowanie uznania jest na przeciwnym biegunie bezkompromisowości. Być może dlatego odmawia przyjmowania nagród i woli pozostać w zaciszu swojego skromnego paryskiego mieszkania w dzielnicy Odéon.

Dziś milczy, kontempluje filozofię buddyjską, spaceruje po cmentarzach i słucha Bacha. Uważa, że bogactwa muzyki nie można zamienić na żadną myśl.

Dziś... 20 czerwca 1995 r., kilka godzin po ukończeniu tego artykułu, wiadomość o śmierci Emila Ciorana.

DACH

Anna Potoczek

Pewnego upalnego i promiennie słonecznego dnia pod koniec sierpnia, a ściślej – w niedzielę, która kończyła ostatni, prawdziwie letni weekend, panna Sylwia B., początkująca projektantka mody, odkryła z przerażeniem, że z jej letniego domku nad jeziorem nieznanymi sprawcy ukradli dach. Sprawa kradzieży dachu już od samego początku wyglądała bardzo dziwnie. O ile bowiem każdy, kto w naszych czasach posiada cokolwiek, musi się liczyć z niebezpieczeństwem kradzieży (sama panna B. bywała już w przeszłości okradana niejednokrotnie), to jednak wyrafinowanie i zręczność, z jaką dokonano tego właśnie przestępstwa, kazały myśleć o sprawcach szczególnie złośliwych i wprost niezrozumiałych, choć głupio zuchwałych.

Motywy zbrodni rozumiane wprost, na odwrót i do góry nogami, były niejasne i uparte, choć niepokojąco absurdalne. Skradziono warstwę najtańszych dachówek i jeszcze tańszej papy, a także część ostatniej jakości desek, z których złożona była zewnętrzna konstrukcja. Wnętrze domu wlamywanym pozostawili nietknięte, jeśli nie liczyć słoika z dżemem agrestowym, rozbitego na ścianie ponad kominem. Nic nie zginęło, a przecież Sylwia B. gotowa była przysięgać, że każdy przedmiot leżał teraz na nieco innym miejscu. I choć wezwana natychmiast policja kazała jej gorąco dziękować Bogu za to, że skradziono tylko te nieszczęsne, stare dachówki i że złodzieje znaleźli w spiżarni wyłącznie niskobrudzący dżem z agrestu, a nie, powiedzmy, płynną konfiturę z wiśni albo z porzeczek, Sylwia pozostała niepokojona, a w jej ufnym sercu zrodziły się uczucia dotąd rzadko tam goszczące: obawa i lęk.

Gdyby ktoś chciał przeprowadzić na własną rękę dedukcyjne śledztwo, podajemy że okoliczności wykrycia kradzieży dachu wyglądały mniej więcej tak – panna B. miała zamiar przyjechać do domku już w piątek, i to nie sama. Przyjechała jednak z dwudniowym opóźnieniem, bez towarzystwa, ale za to w tym drażliwym nastroju zawiedzionej kobiety, który każde dostrzeżenie w wyglądzie świata większą niż zazwyczaj część jego niedostatków. Nic więc dziwnego, że od razu, ze znacznej odległości, zauważyła w wyglądzie „Rivier” (bo taką nazwę nosił zakupiony przez nią poprzedniego lata góralski domek), wyraźną zmianę. Z pozycji kierowcy prowadzącego samochód po wirażach trudno jej było sprecyzować na czym polega różnica, ale gdy stanęła wreszcie na wysypanej żwirami drodze wjazdowej, oczom obrzękłym od lez ukazał się taki właśnie widok: domek odarty z łuski dachówek, z kominem, dwoma mansardowymi pokoiakami i łazienką, wystawionymi bezwstydnie na publiczny widok. A cóż to takiego! Wykrzyknęła sama do siebie. Nikt jej nie odpowiedział, choć może jednak odpowiedział, skoro cisza płynąca ze środka „Rivier” zabrzmiała jako odmiennie i niepokojąco. Halo, Halo! zawołała właścicielka, czy jest tam ktoś? Nie było nikogo. Sylwia nadsłuchiwała jednak, podnosząc do góry głowę i przyglądała się w osłupieniu rozmiarom dokonanej w niezwykle sposób szkody. W niezwykle sposób, otóż to. Techniczna trudność kradzieży dachu miała, nawet dla pomyslowej Sylwii B. coś z zagadki sfinksa. Trawnik pod okapem pozostawał nietknięty, rabatka z kwiatkami także, a na bielonych przed miesiącem ścianach zewnętrznych uważna panna B. nie dostrzegła ani jednej, rozjaśniającej tajemnicę plamki, śladu buta czy choćby zadrapania świadczącego o użyciu drabiny, podnośnika (?), albo sznurów. Choć rozglądała się wokół z dociekliwością artystki-krawcowej, nie znalazła wokół domu nic podejrzanego. Nie ulegało wątpliwości, złodzieje musieli być dobrymi fachowcami, ale ich łup, pożałuj Boże, ten dziwny łup i jego irracjonalny wybór, przejęty biedną Sylwii prawdziwym przerażeniem. Im dłużej stała obok rabatki pełnej bujnych nagietków i soczystych margerytek, tym większa obawa mieszała bieg jej myśli. Ktoś, kto ukradł stary dach, musiał być szaleńcem. I choć wokół panował spokój, a jedynym rozpoznawalnym odgosem był wrzask ptaków unoszący się znad jeziora, panna B. zdawało się, że jakaś postać czai się tuż obok, łowiąc jej ruch (czy raczej, bezruch), niemym spojrzeniem. Właśnie to mgliste przeczucie cudzej obecności sprawiło, że uczuciowy zawód dnia poprzedniego przerodził się raptownie w atak hysterii. Nerwowo upewniła się, że drzwi od garażu są zamknięte, klódka od komórki nietknięta, szyby w oknach całe, żwirowana ścieżka wokół domku bez śladu kolein, a szczelna zasłona dzielnego wina nad gankiem posiada mniej więcej tyle samo listków co przed tygodniem, po czym odwróciła się na pięcie i krzyżując „ratunku!” pobiegła co sił w nogach w stronę zarosłej gąszczem modrzewi parceli sąsiedów.

Państwo G. siedzieli właśnie przy podwieczorku. Gdy Sylwia stanęła w drzwiach, bełkocząc coś niezrozumiale, dwoje małych G-ciątek oraz ich pies uznali to za znakomity pretekst do poderwania się od stołu. Co się stało, droga panno Sylwio, wykrzyknął ze zdumieniem miły pan G., a pani G. zawtórowała mu jak echo: panno Sylwio, co się... Na co Sylwia zawołała: pomocy! starając się zagłuszyć szczekanie psa. Spokojnie, spokojnie, odpowiedzieli jej na to pan i pani G., wymieniając pomiędzy sobą krótkie spojrzenia. Poprosiła, by zaraz poszli za nią. Zrobili to, zapewniając po drodze, że są na wakacjach od tygodnia, ale nie widzieli ani też nie słyszeli nic podejrzanego. Prawdopodobnie zamierzali powiedzieć jej, że chyba przesadza, ale na widok domku bez dachu stanęli jak wryci i nie powiedzieli już więcej ani słowa, a pan G. z wrażenia nawet cichutko zagwizdał. Coś takiego, nie do wiary, trzeba natychmiast dzwonić po policję... odezwała się po chwili pani G., a Sylwia, czując jak mrówki chodzą jej po plecach, wymownym gestem chwyciła się za głowę. Jedyne dzieci (8 i 10 lat) nie okazały żadnych emocji, chowając się za plecy rodziców i łapiąc po drodze psa, który przebiegł beztrząśno przez kępę nasturcji.

Policja była bezradna. Tresowany pies tropiący nie odnalazł tropu, lub też zgubił go natychmiast w zapachu psa państwa G., dość że biegł pomiędzy obiema działkami merdając ogonem, uszczęśliwiony, że tak łatwo znalazł coś, czego wcale nie szukano. Policjanci zbadali teren i przetrząsnęli wnętrze domku zbierając ślady. Po kilku dniach okazało się jednak, że nie znaleźli żadnego, który nie należałby albo do samej Sylwii, albo do kogoś z rodziny G., albo do kilku przyjaciół właścicielki, co do których nie miała i nawet nie mogła mieć cienia podejrzenia. Ich alibi były żelazne. A więc nic...? zapytała żałośnie zeznajac po raz kolejny w miejscowym komisariacie. Nic, potwierdzili policjanci stanowczo i smutnie. Nic, powiedział, choć w innym kontekście, pewien przyjaciel Sylwii, który powinien być, choć nie był przy niej tamtego krytycznego, sierpniowego dnia.

Kazała naprawić dach i wróciła do zwykłego trybu życia. Pracowała nad kolekcją jesienną, klasyczną, nawiązującą do najlepszych tradycji Europy. Lubiła swoje zajęcia i projektując linie i styl, zdolna była zapomnieć o wszystkim, co nie było naturalną elegancją, wdziękiem i fasonem. Lubiła też układać krótkie artykuły propagujące modę, rozumiałe dla wszystkich wytwornych kobiet, także dla tych, które rozumieją poezję wyłącznie w kategoriach faktury tkaniny i sztuki dodatków. Ogarniała ją (choć na krótko) wewnętrzny spokój, gdy pisała z namysłem, wzorując się na znawcach przedmiotów „Jesienią powróci piękny, klasyczny kostium. Propozycje na zbliżający się sezon obejmują przede wszystkim miękkie i ciepłe materiały naturalne, wełnę, bawełnę, kaszmir, tweed i welur. Będziemy nosić długie jakiety z kieszeniami, w kolorach hortensji, fiołków alpejskich i orchidei. Modny staje się kolor nafty (ciemny seledyn), granitu assuańskiego (jasny popiel z domieszką łagodnego różu) i blendy cynkowej (ciemny popiel i żółcień). Specjalnego omówienia wymaga wysublimowany duet – gruby kaszmir i cienka bawełna, nadające się do komponowania długich spódnic i kamizelek, a także barokowych bluzek, nadających się doskonale na długie, ciemne, listopadowe wieczory. Połączenie weluru i wełny w kolorach sierzni wielobłądziej, dyni, mchu i paproci, tworzy nieskazitelnie wykwinutą harmonię, której dopełnieniem mogą stać się wełniane hafty o odcieniach cynamonu, szafranu, pistacji i oranżu...” Zapominała o całym świecie i nawet o skradzionym dachu, komponując te drukowane w poczytnych czasopiśmie z tygodnia na tydzień poematy o pulowerach, kardiganach, tunikach, patkach, i niewiarygodnie urozmaiconych wariacjach na temat kołnierzyka albo stójki u koszuli.

A przecież jednak nie zapominała. Zapomnienie było płytkie i pozorne, skoro coraz rzadziej jeździła do domku nad jeziorem i z coraz większą obawą myślała, że już nigdy nie będzie w nim w pełni szczęśliwa. Nie chodziło tylko o to, kto będzie w przyszłości bywał tam wraz z nią, nie, to byłoby uproszczenie. Jej niejasne obawy dotyczyły samego domku, czegoś lub kogoś, kto wśliznął się tam wraz z faktem kradzieży i pozostał w „Riwierze” pomimo pokrycia dachu solidną warstwą desek, papy i etemitu. Ktoś tam był wraz z nią, szczególnie wtedy, gdy przyjeżdżała nad jeziorno zupełnie sama. Czula tę obecność podstępna i czujna, która tkwiła równie mocno w ciszy jak i w dźwiękach, w towarzystwie i w osamotnieniu. Tak, to prawda, spokój „Riwier” został zburzony. Zagadka dachu, który zniknął, rzucała na domek jakiś ponury cień.

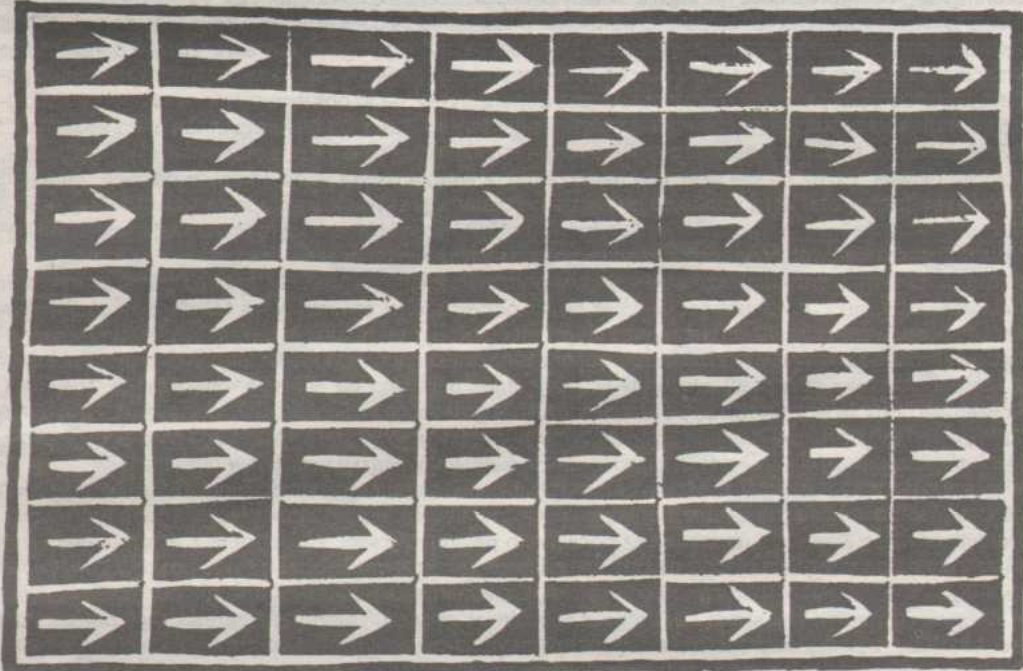
Pewnego dnia, po opijaniu szczególnie udanego numeru, zwierzyła się ze swoich obaw koleżance z redakcji. Koleżanka, która miała na imię Stasia, ale wolała gdy mówiło się do niej Cynthia, wysłuchała zwierzeń Sylwii z troską i uwagą. I co zrobiłaś, by to wszystko wyjaśnić? spytała wreszcie, gdy relacja panny B. dobiegła końca. A co miałaś zrobić? odparła Sylwia pytaniem na pytanie, policja nie znalazła odcisków palców a pies stracił ślad... Coś podobnego! wykrzyknęła na to Stasia. I ty uwierzyłaś w to co ci powiedzieli? Przecież policja zawsze tak mówi, zawsze, z obiecuję ci, oni nigdy nic nie znajdują, a ich psy, tak jak i oni sami, są do niczego... Ale żeby tak po prostu nie zrobić nic...nic?...czy to możliwe?... zupełnie nic?...

Sylwia B. słuchała załamana. Owszem, czuła że w zakończeniu historii z dachem czegoś brakuje i coś jest nie w porządku, ale nie wyobrażała sobie nawet, że, widziane z boku, jej sprawy mogą wyglądać aż tak źle. Więc co powinna była zrobić? jęknęła cichutko. Ale oburzona Stasia nie chciała odpo-

dzień wprost na to pytanie. Jesteś przecież dorosła, powiedziała stanowczo, tonem nie znośnym sprzeciwu, a ludzie dorosli powinni wiedzieć, jak się zachować w każdej sytuacji. Nie powinienam ci wskazywać rozwiązania palcem, mogę tylko powiedzieć, że na twoim miejscu nie bagatelizowałabym tak łatwo całej sprawy. Kradzież dachu... Tak, to naprawdę dziwne, zasugerowała tajemniczo, podnosząc się z krzesła i wciągając obcisłą rękawiczkę na lewą dłoń. Mózg Sylwii B. zarejestrował odruchowo, że była ubrana w ciekawy kostium z tkaniny melanzowej, jak zawsze pewna siebie, opanowana, spokojna i wściekle elegancka.

Zamieniły jeszcze parę nic nie znaczących słów, po czym Stasia vel Cynthia odplynęła, pozostawiając Sylwii B. samą i nawet gorzej niż samą, bo w towarzystwie aż nazbyt wielu myśli. Te zaś kłębiły się jak stado os, wynosząc na powierzchnię świadomości jakieś niewyraźne wspomnienia – kradzieży, włamań, podpaleń, szantaży, porwań i terroryzmu, z jakimi kiedykolwiek, przelotnie choćby, zetknęła się, albo o których słyszała. Nie było tego wiele, a przecież wystarczyło, by ciemne, dobrze obcięte włosy Sylwii B. nabrały gotowości do stanięcia dęba. Co właściwie Stasia mogła mieć na myśli? Ostrzeżenie? Choć jakie właściwie ostrzeżenie? Przed czym? Czy Sylwia naprawdę zaniedbała czegoś ważnego? Myślała o tym całą noc.

Zdrzemnęła się dopiero nad ranem, a po kilku godzinach obudziła pełna złych przeczuczeń jak po przeżyciu sennego koszmaru. Nie pamiętała co się jej śniło, lecz przecież nawet niewyraźne kontury i mglista



Jan M. Szczurek, Rysunek

treść uparcie odnosiły się tylko do jednego, do skradającego się zewsząd zagrożenia. Czuli, że coś lada chwila może się wydarzyć. Nie wiedzieli, co; cokolwiek, lecz to coś, gdy nadejdziesz, będzie straszne, przekroczy ludzką wytrzymałość. Nie potrafiła wyobrazić sobie tego czegoś, choć próbowała przekonywać samą siebie, że kradzież dachu, choć przykra, nie kryła w sobie grozy lęku, jaki brał z niej swój początek. Logicznie rozumując, nawet w wypadku następnej kradzieży złodzieje zabiorą dywan, lodówkę, kosiarkę do trawy. I co z tego? Nic, kupi nowe. Choć nie w tym rzecz. Więc w czym? Nie, patrząc na problem dachu w taki sposób, nie znajdzie w nim istoty sprawy. Bo istota nie zawierała się przecież w samym fakcie, zniknięciu, kradzieży. Jej jądro składało się z oczekiwania, z głuchej i ciemnej emocji, każącej podczas snu przesuwać się pod powiekami zamaskowanym postaciom, a na jawie zmieniającej się w ucisk za mostkami i kulę w przeloku.

Nigdy dotąd nie przeżyła nic podobnego. Owszem, zawsze uważała się za osobę wrażliwą, ale w miarę upływu lat uzyskiwała coraz większe panowanie nad tym, co w niej samej było obce i niezrozumiałe. Polubiwszy własną samodzielność, nie umiała radzić sobie z lękiem, jaki po kradzieży dachu zaczęła ją ogarniać w chwilach samotności. Doszło do tego, że bała się jeździć nad jeziorem. Jeśli próbowała być dzielna i siłą przeczuciwała te obawy, eksperymenty kończyły się całkowitą bezsennością albo ucieczką w środku nocy do domu państwa G. Niejasne słowa Cynthii rozdziły owoce. Uwierzona w zamkniętej sypialni „Rivieri” zamierzała z przerażenia słysząc lada szelest. Zerknęła spod oka na zaciągnięte zasłony, doremnie próbowała czytać, słuchała radia, robiła na szydełku. Wszystkie na próżno. Zasłony były nieruchome, ale zdawało się jej, że falują, ptaki nad jeziorem podrywały się do lotu w najmniej stosownych godzinach, coś stukalo w łazience, a koty przemykały się za oknem w siatce z gałęzi. Sylwia B. nadsluchiwała, złorzecząc na brak telefonu i stałego połączenia z miejscowym komisariatem. Kilka razy lęk zwyciężył i Sylwia ratowała się ucieczką w objęcia państwa G. Budziła ich ze snu krzycząc z przerażeniem: nie mogłam wytrzymać... wybaczcie... to było straszne... nie mogłam...

Po kilku tygodniach wewnętrznej szarpaniny zdecydowała się iść po radę do psychologa i do lekarza. Ale i to nie pomogło. Dostała wprawdzie tabletkę na sen i odpowiedziała na pytania o relacje z rodzicami, bratem i narzeczonym, lecz diagnoza nerwicy nie zmieniła w niej niczego. Miała zamiar, jak zwykle, szukać ukojenia w pracy, lecz tym razem nie dodała jej sił nawet projekty planowane na karnawał. Poczuła się bezradna, przestała jeździć nad jeziorem, ale nawet puste mieszkanie w mieście zaczęło dławić ją swoją ciszą. Nie potrafiła tego zrozumieć. Czasami, leżąc w łóżku, myślała że bez powodu dotknął ją zły los. Bo przecież w gruncie rzeczy nic się nie stało, próbowała przekonywać sama siebie, skradziono tylko stary dach. Ale to nie była cała prawda. Owszem, dach był początkiem, ale lawina czegoś bardzo dziwnego runęła na nią poprzez ręce złodziei. „Na twoim miejscu nie bagatelizowałabym tak łatwo tej dziwnej sprawy” dźwięczał jej w uszach kobiecy głos. Lecz miała świadomość, że wpada w przesadę, a przesada to druga skrajność, jęczała cichutko łykając pigułki. Owszem, zasypiała po nich, ale śniły się jej nadal jakieś mroczne zarośla, szuwary, migające cienie i ślady ukrytych w ciemności, drapieżnych rąk.

Gdy nadeszła pełna jesień, Sylwia B. nie przypominała już siebie samej sprzed dwóch miesięcy. Stała się malomówna, skryta i lękliwa, niechętnie przyjmowała zaproszenia na kolacje, a styl jej felietonów stał się posępny. Pisała teraz o czarnych pelerynach z kapturami, woalkach spuszczonej na oczy i o głębokich kapeluszach kryjących twarz. Było jej źle w samotności, ale i źle w towarzystwie, czuła że opuszcza ją dawcpi, a pośród znajomych rozeszła się wiadomość, że ma depresję i serce w kawałkach. Po części było to prawdą, lecz tylko po części. Sama nie potrafiła zrozumieć, co się z nią działo, wiedziała jednak, że musi coś w sobie zmienić, od czegoś zacząć, musi zapomnieć o początku złego, a tym początkiem był przecież mało znaczący i pospolity dach.

Wreszcie pewnego dnia, podczas śniadania, jej roztrągnięty wzrok natknął się podczas lektury gazety na frastrę ogłoszenia. Natychmiast chwyciła ołówek i podkreśliła: PRYWATNY DETEKTYW PRZYJMUJE ZLECENIA. Detektyw, otóż to. No cóż, westchnęła, gdy się jest w takim stanie ducha jak ja, po przyjaciółce, psychiatrze i psychologu przychodzi kolej na prywatnego detektywa.

Zadzwoń na od razu pod wskazany numer. Odebrał męski głos automatycznej sekretarki, chłodny i opanowany, taki właśnie, jaki powinien brzmieć w automacie poufnej agencji. Poprosiła o telefon zwrotny i podała swój numer, po czym odłożyła słuchawkę i zamarała w fotelu. Nie była w stanie robić nic poza czekaniem i upływ czasu tym razem koł ją i uspokajał. Ogarnęło ją jakieś dziwne odurzenie i potencjalna bliskość detektywa już na odległość dawała jej ulgę.

Nie czekała długo. Oddzwonił mniej więcej po kwadransie i znów usłyszała ten sam głos, brzmiający na żywo jak skomponowana przez komputer, inteligentna melodia. Oględnie opowiedziała, o co jej chodzi, a on słuchał, a potem odłożyło słuchawkę i zamarała w fotelu. Nie była w stanie robić nic poza furcie „Rivieri”. Skrupulatnie dopytał się o miejsce, rozwidlenia ścieżek, o odległość od wody i o bliskość drzew. Dziękując, szepnęła, gdy przyrzekł, że zajmie się jej sprawą. Nie pytała o wysokość honorarium ani nawet o polecenie firmy i o jego nazwisko.

Ich spotkanie przypominało scenę z filmu. Najpierw zobaczyła srebrne volvo stojące pod bramą, a potem jego samego, opartego o płot – szczupłego mężczyznę w nieokreślonym wieku, ubranego w przylegający do ciała, czarny strój. Pasował do jej snów i mogła wprost z nich wywieść serię przymiotników, jakimi chciała go opisać. Giętki, mroczny, nieodgadniony, milczący, przenikliwy, i tym podobne. Jego zwięzła szorstkość ujęła ją. Zaparkowała, skinął jej ręką, wysiadła, podali sobie ręce. Gdy szła z nim w stronę domu, czuła niemal fizycznie płynne ruchy, które sprawiły wrażenie, że raczej skradł się, niż szedł. Zacinając się i jakąś małą uczennicą, raz jeszcze opowiedziała o tym, jak zniknął dach. Słuchał uważnie, niczego nie komentując. Gdy byli już w środku, wyciągnął dokumenty i pokazał niedbale licencję swego biura. Miał na imię Manfred, jak po męsku, jak uroczo. Choć w jego zachowaniu nie było nic uroczego. Choć przecież było, było, to nie ulegało kwestii. Był taki... taki... sama już nie wiedziała. Taki konkretny. O, właśnie, otóż to. Kazał jej usiąść na fotelu i milczeć, on tymczasem przetrząsał skrupulatnie, od góry do dołu, cały dom.

Siedziała, czując że paradoksalnie spełnia się jednak scena ze snów. Czarno ubrany, obcy mężczyzna buszował po „Riwierze” jak rasowy włamywacz. Patrzyła, jak otwiera drzwi do skrytek w pokojach i do szafek w spiżarni, jak grzebie w szufladach i opukuje doniczki. A ona patrzy na to, wszystko widzi, jest taka bezradna i mimo to, taka bezpieczna... Manfred, jak ładnie. Nikt z jej znajomych nie miał tak na imię. Jak się do niego zwracać? Pełnym imieniem? Zdrobniale? Z dodatkiem „pan”, czy też bez? Czy kiedy wreszcie skończy rewizję, zaproponować kolację, czy raczej bez żadnej propozycji nastawić czajnik wody na herbatę?

W końcu zaproponowała, że zrobi kanapki, ale oschle odmówił. Czy mogę...? spytał tylko, wskazując na maszynę do pisania i arkusz papieru wkreślony na walek. Tak, ależ tak, zawołała skwapliwie. Wyciągnęła. Najpierw sprawdził maszynę z góry i od spodu (po co?), a potem leniwie sięgnął po papier i zaczął głośno czytać. „Jesienią i zimą prawdziwy renesans przeżywać będzie biel i czerni. Te klasyczne kolory należy nosić kontrastowo, rozjaśniając je punkcikiem purpury kardynalskiej lub ostrego cynobru, które podkreślą jeszcze dostojną pełnię barw śniegu i...” Czy to pani napisała?, zapytał. Ja, odparła cichutko, niepewna, czy powinna być dumna, czy raczej się wstydić. Ale Manfred szybko odłożył felieton, jakby to była cudza chusteczka higieniczna i nic więcej jej nie powiedział. Wodziła za nim wzrokiem wstrzymując oddech i próbowała go przejrzeć, przeniknąć, czy choćby troszeczkę zrozumieć. Lecz na próżno. Naprawdę był nieodgadniony i nie miała pojęcia, o czym myśli, gdy systematycznie przerzuca strony po stronie zwalając książki i stare gazety. Stop, stop, dlaczego grzebie pan w papierach, skoro skradziono dach, chciała wykrzyknąć, ale jakoś nie wykrzyknęła. Onieśmiał ją. A poza tym, argumentowała w myślach, jako detektyw z licencją, na pewno wiedział, co robi i nie wolno jej było wtrącać się do jego metod.

Koniec na dziś, powiedział wreszcie gdy zaczęło się ściemniać. Owszem, obejrzał grządki pod oknami i lysiejacy trawnik, a także samą stroną dachu, po której tylko kot-akrobata mógłby poruszać się bez zewnętrznej pomocy. Nadal nic nie mówił, jeśli nie liczyć kilku zwiezłych pytań i neutralnych monosylab. Czy ma pani wrogów i wyraźne podejrzenia? Jakies kłopoty w pracy? Zemsta kochanka? Autodestrukcja? Nie, powtarzała w odpowiedzi, nie, nie, nie i jeszcze raz nie i nie. A więc co? zapytał wreszcie. Nie wiem, to pan ma mi odpowiedzieć. Dopiero wtedy zobaczyła uśmiech na jego ustach. Pociągnęła twarz Manfreda w jednej chwili zmieniła się i nabrała nowego wyrazu. Zobaczyła, odrzucił zagadkowo, a jego dłoń w czarnym rękawie wykonała w powietrzu nieokreślony ruch. Serce Sylwii B. zabiło mocniej, ale poza jego ruchem i uśmiechem nie stało się pomiędzy nimi już więcej nic. Widzi pan... zaczęła, chcąc mu się zwierzyć ze swego osamotnienia, lęków i niepokojów, ale słowa zatrzymały się gdzieś w ściśniętym gardle i poza enigmatycznym: och, gdyby pan wiedział... w łączącą ich przesterżenie ciszy nie wydobył się żaden dźwięk. Poczuła się bardzo onieśmiona. Manfred czekał przez chwilę, bez zniecierpliwienia, lecz też chyba bez ciekawości. Wreszcie skinął głową, powiedział że zadzwoni, znów podali sobie ręce, odjechał, a ona za nim. Wieczorem, jak zwykle, myślała tylko o poszukiwaniu dachu i złodzieja, ale w nocy spała twardo i spokojnie, głębokim snem bez snów.

Istotnie, zadzwonił nazajutrz, wczesnym popołudniem. Przyjdź do pani dziś, o szóstej piętnaście, oznajmił, proszę nie wychodzić z domu, muszę coś sprawdzić, prześlę pani wiadomość, będę punktualnie, do zobaczenia, pozdrawiam, to ważne. Słuchała jak zahipnotyzowana, a gdy odłożył słuchawkę, nie czekając wcale na jej potwierdzenie, zdała sobie sprawę, że mówił jak nagranie z taśmy, tonem nie znośnym sprzeciwu, władczo, jednym tchem. Nie zdążyła go powstrzymać, choć godzina szósta piętnaście była porą niefortunną. Nie, to niemożliwe, bo ktoś inny, jeszcze niedawno bardzo ważny, miał przyjechać do niej o szóstej na rozstrzygającą rozmowę. Być może właśnie w związku z tą rozmową czuła się rozbita psychicznie, płacziwa i niemal chora. Trudno zaprzeczyć, wciąż trwało między nią a tym kimś coś niedokończono, nie spełniono do końca, choć jednak i mimo wszystko godnego uwagi... Tak, on przyjdzie o szóstej. A drugi on o szóstej piętnaście. Co za głupia zbieżność, pech, nieporozumienie! Dlaczego nie przerwała Manfredowi w pół słowa? Jest przecież tylko wynajętym detektywem, fachowcem nieco tylko się różniącym od hydraulika albo od dekarza...

Niewiele myśląc, wyjęła notes, znalazła numer jego biura i wykreśliła cyfry na tarczy telefonu. Lecz numer nie odpowiadał i tylko monotonne tiik-tiik-tiik raniło jej uszy jak umyślnie szyderstwo. Rzuciła słuchawkę, telefon jęknął, zerwała się natychmiast w obawie, że uszkodziła przewody. Działła. Po pięciu, dziesięciu i piętnastu minutach zadzwoniła do biura jeszcze jeden i jeszcze kolejny i jeszcze następny raz, bez żadnego skutku. Wreszcie, doprowadzona przez siebie samą do prawdziwej furii, usiadła przy stole i oparła głowę na splecionych rękach. Jej wzrok zatrzymał się na szkicu sukni balowej, jaką projektowała na najbliższy karnawał. Była to prosta, bardzo spokojna toaleta, wzorowana na wspomnieniu Audrey Hepburn w roli Nataszy Rostow, stojącej na progu ogromnego salonu, w uchylonych drzwiach. Sylwia B. miała tę scenę przed oczami, gdy, jak w natchnieniu, szkiełowała czarną spódnice-krynowinę, wąskie rękawy, wycięty dekolt, odkrywający aksamitkę ze starym medalionem, a także uczesanie modelki – włosy zaczesane do tyłu w dekadentcki kok, odsłaniające twarz, w której nie ma nawet kropli krwi, białej jak kreda, pociętej jaskrawą geometrią karminowych warg i czarnych oczu. Projekt był już gotowy, a rankiem poprzedniego dnia Sylwia B. znalazła w sklepie na rogu idealny wprost materiał. Kupiła go, leżała teraz na oparciu fotela, porzucony tam jak ściereka do podłogi, nagle zupełnie niepotrzebny, skoro Natasza Rostow nie była pewną balu, wierności księcia Andrzeja i jego uczuć, które dotąd stanowiły dla niej największe w życiu oparcie. Poczuła się odrzucona i przyszło jej do głowy, że w gruncie rzeczy telefon od detektywa należał do szczęśliwych zbiegów okoliczności. Zastanowiła się. Po chwili przyszło jej do głowy, że powinna raczej zadzwonić do A. i powiedzieć mu oschle, że nie będzie miała czasu, wypadło jej ważne spotkanie, żałuję mój drogi, ale jestem zajęta. A. będzie wściekły i o to właśnie chodzi. Wściekły. To pewne. Zawsze tak z nim jest, jeśli ona robi albo choćby zasugeruje że chciałaby zrobić coś, co jest sprzeczne z jego planem. To jego natura. Wszyscy mężczyźni są tacy. A. jest pod tym względem całkiem typowy, odpowie: w porządku, lecz tonem szkła tnącego styropian. Pokłóć się, tym razem na zawsze. A może nie na zawsze? Może właśnie taka rozmowa coś pomiędzy nimi odmieni i uzdrowi? Choć nie, to raczej niemożliwe. Ich związek kończy się, czy ona chce tego czy też nie, ale taka rozmowa przyspieszy jeszcze jego zakończenie. Nie pójdą razem na bal, nie będą się już nigdy całować ukradkiem, podczas spacerów nad rzeką, nie pojedą ani do „Rivieri” ani do Paryża, ani do Radomia (do jednych rodziców), ani nawet do Kielc (do tych drugich). Natasza Rostow umrze z nudów albo z powodu przeciągu, stojąc bez końca w uchylonych drzwiach. I nie będzie już księcia Andrzeja, balu, aksamitki z medalionem. Nie będzie... Lecz cóż, prawdopodobnie i tak ich nie będzie. A. odszedł już wcześniej, więc dziś o godzinie szóstej drzwi, dotąd uchylone, mogą (ale nie muszą) zatrzaskać się przy dźwięku kilku cichych słów. Tak, nadszedł czas wyboru pomiędzy A. i Manfredem, który coś wie, coś odnalazł, coś podejrzewa... Zamknęła oczy. Niech sam los rozstrzygnie o tym, co ma się stać. Jeśli A. wciąż ją kocha, będzie musiał zrozumieć. Otwarła oczy. Ruchem szybkim i zdecydowanym wykreśliła po raz czwarty numer biura detektywa. Nikt nie podniósł słuchawki. Wtedy (los tak chciał!) zadzwoniła do A. Był w domu. Właśnie wybieram się do ciebie, powiedział ciepło. Żałuję A., zmroziła go Sylwia, ale mam ważne spotkanie, coś mi wypadło, jestem zajęta, po prostu nie przychodzi. W porządku, odpowiedział A. i Sylwia, która właśnie w tej chwili przestała być Nataszą, usłyszała bez cienia wątpliwości jak zatrzaskują się niewidzialne drzwi. Odłożyła słuchawkę i chwyciła długopis. „Na bale i na kolacje przy świecach” napisała pospiesznie czując jak do oczu napływają jej łzy „włożymy w tym sezonie długie suknie, stylizowane na fin de siècle. Modne stają się prawdziwe klejnoty i małe miniaturki ukochanych osób, zawieszane na cienkich wstążkach z atlasu i aksamitu. Jako strój wierzchni polecam podbijane futrem peleryny z kapturami, jakimi podczas romantycznych spacerów nad rzeką może otulić się w razie potrzeby nie tylko jedna, lecz nawet dwie osoby...”. W razie potrzeby... powtórzyła półgłosem, jakby niepewna, co dalej napisać. Obgryzając koniec długopisu, zerknęła na zegarek. Jak wcześniej, pomyślała, dorysowując projektowi sukni balowej podwójną stębnę na prawym rękawie. Była dopiero godzina piąta dwadzieścia sześć.

sama nie do końca zdawała sobie z tego sprawę, potwierdzając tę przemianę zachowanie dzieci państwa G., niegdyś tak ufnych i wesołych, które teraz przemyciły się cicho koło płotu, omijając jej nieruchomy wzrok.

Późnym popołudniem wracała do domu. Manfreda prawie nigdy nie było, choć zostawiał po sobie ślady, brudne talerze, plamy ketchupu, koszule rzucone w łazience byle gdzie. Rzadko zostawiał jej kilka słów, skreślonych na wyrwanej z zeszytu kartce, częściej odgrywała z automatycznej sekretarki jego głos. Miał teraz wiele pracy, prowadził prywatne śledztwa w niezliczonych sprawach skradzionych samochodów, niesplaconych długów, podejrzanym agencji, magazynów broni i tym podobnych. No i naturalnie wciąż zajmował się sprawą dachu, którą przeciagał bezwstydnie i nawet się z tego nie tłumaczył. Czasem Sylwia B. miała wrażenie, że nieudany wyjazd na parking wyczerpał jego możliwości, choć ona sama zarzuciła mu, że był to pomysł godny licealiby. Nic na to nie odpowiedział. Jadł właśnie kanapkę, kołysząc się w fotelu bujanym bez butów i bez skarpetek. Lubił chodzić bosy, twierdząc że ucisk podłogi działa korzystnie na pracę umysłu. Lecz tym razem widocznie jego umysł zaciął się na chwilę, bo odpowiedział Szwabce jedynie jednym słowem i to bardzo brzydko. Stanęła osłupiała. Jak możesz, krzyknęła, nie panując nad sobą. Mogę, oznajmił wtedy spokojnie, przełknął ostatni kęs, włożył buty, naciągnął czapkę na uszy i po prostu wyszedł. Trzasnęły drzwi, a potem rozległ się łomot ciężkich kroków na schodach. Stała na środku pokoju czując, jak zamiera jej serce.

Naprawdę zamierało. I w tej chwili zamierania, gdy film życia, jak przed śmiercią, przewinął się jej przed oczami, zobaczyła jeszcze raz różne obrazy, łącznie z Audrey Hepburn roztrząskawaną przez A. i przez drzwi, a także migawkę tańca przy ognisku, na obrzeżach parkingu. Wtedy właśnie doznała oświecenia, poznała kobietę, która cofnęła się w cień i odkrycie to zadało jej następny cios, po raz kolejny tamujący, a w chwilę później przywracający jej oddech. I Sylwia B. zakłęła, używając tego samego słowa, którego wcześniej użył Manfred. Nie, nie mogła się mylić. Tamta dziewczyną była Cynthia.

Dzień dobry, kochanie, powiedziała słodko (po upływie godziny i zażyciu pastylki na uspokojenie), słyszysz głos Stasi wprost z pustki, jaką nazywa się linią telefoniczną. Dzień dobry, kotku, odpowiedziała Cynthia, jak się masz, co słychać? Wszystko jak najlepiej, odparła Sylwia B., chciałam się tylko dowiedzieć czy jesteś zdrowa, bo jeśli tak, to zapraszam cię jutro, wiesz na co...? I zawiesiła głos. A gdy Cynthia odpowiedziała niewinnie, że nie wie (i może dobrze, że jeszcze nie wie, pomyślała wtedy Sylwia B.), zaszczębiotała, odwieszając głos. ... na ognisko.



M. Szczyrak, Rysunek

Ale sprytna Cynthia udała, że nic się jej ani trochę z niczym nie kojarzy i z zupełnym spokojem przyjęła zaproszenie. Gdzie urządzasz ten jubel? spytała tylko, w mieście czy nad jeziorem? A propos jeziora, czy naprawiłaś już dach?

Co za cynizm, jęknęła w duchu Sylwia B. wyjaśniając jak najkrócej, że z dachem, i owszem, wszystko w porządku. Wiesz już, kto go ukradł? spytała Cynthia podchwytliwie, a Sylwia odparła, że już nieomalże i prawie – tak. W takich sprawach nie ma żadnych nieomalże i prawie, pouczyła ją Cynthia, albo się wie, albo nie. Mówisz tak, zauważyła Sylwia, jakbyś miała coś na myśli, jakbyś coś lepiej ode mnie wiedziała... Coś ty, nie rób się paranoiczna, roześmiała się na to jej rozmówczyni, skąd miałabym wiedzieć, a poza tym nie powiedziałaś mi nawet, o której godzinie robisz to ognisko.

Ognisko Sylwia B. zaplanowała na piątą po południu. Zaprosiła na nie, oprócz Cynthia, kilkoro znajomych, a detektyw Manfred zaprosił się sam. Stało się to niemal przypadkowo. Gdy ubrana w płaszcz z wielbłądziej wełny pakowała do koszyczka niezbędne przedmioty, usłyszała zgrzyt klucza w zamku i na progu, jakby wcześniej nic nie zaszło, stanął uśmiechnięty i zarumieniony On. Cześć, zawołał wesoło, gdzie się wybierasz z tym koszykiem, po nocy? Nic nie odpowiedziała, pakując nadal plastikowe talerze. „Riviera” czy nie tak? spytał siadając na stołeczku w przedpokoju i patrząc ze skruchą jak Sylwia B. wiąże na szyi szalik i z wściekłością nasadza na głowę własnoręcznie zaprojektowaną czapkę-kominarkę. Czuliła na sobie jego spojrzenie i choć rozum podpowiadał jej, że dla dobra jej własnego śledztwa powinna koniecznie zabrać go ze sobą, to jednak gdzieś w głębi serca czuła, jak narasta w niej niepohamowana furia. Czy naprawdę mężczyźni muszą być właśnie tacy? Miała wiele do zarzucenia A., lecz Manfred przy bliższym poznaniu wcale nie był lepszy. Sylwia B., która nigdy nie uważała się za feministkę, gotowa była w tamtej chwili przypisać rodzajowi męskiemu wszelkie wady. Szukając w mężczyźnach bezskutecznie oparcia i bezpieczeństwa, natykała się wciąż na to samo, gruboskórność i egoizm. Okopani w nich, byli ślepi na to, czego chcieli nie dostrzegać, ale znów sprawy, które mieli ochotę dostrzec, egzekwowali od swoich kobiet niezmiernie stanowczo. Niestety, prywatne doświadczenie Szwabce wskazywało, że kobiety mimo wszystko potrzebują mężczyźni i to o wiele silniej niż vice versa. W każdym razie Sylwia potrzebowała Manfreda raczej żywego niż umarłego, dla konfrontacji z Cynthia podczas ogniska, toteż przeknęła w końcu gryzącą gorycz i poprawiając grzywkę pod beretem opowiedziała detektywowi o pomysłach przyjęcia. Manfred, trochę zakłopotany, postanowił jednak przez resztę wieczoru odgrywać rolę dobrego rycerza. Daj mi ten koszyk, powiedział wladczo i z własnej inicjatywy dorzucił do niego wielki, emaliowany rondel. Sylwia B. zauważyła, że w takim razie powinien jeszcze zejść na dół i kupić w sklepie kielbasę i chleb. Nie zapomnij o cebuli, krzyknęła gdy był już na schodach. Po czym cofnęła się w głąb mieszkania, uchyliła okno w pokoju i przez długą chwilę wpatrywała się w światła miasta, świecące już w szarej mgle. Nie myślała o niczym, mając w głowie dość konkretny plan. Przez głowę przebiegały jej jednak wciąż jakieś strzępki zdań, urywki wierszy, nuty wyrwane ze środka piosenek. Niech stanie się wreszcie to, co musi się stać, powiedziała nagle ze środka mgły wewnętrzny szepot. Miej odwagę, Sylwio, miej odwagę, bo inaczej zginięsz, zawtórował mu inny. Zamknęła oczy. Zapach wędzących liści, spalin i deszczu przesłonił na decydującą sekundę wszystkie argumenty i kontrargumenty, jakich kiedykolwiek chciała użyć w dyskusji z losem. W tej jednej, jedynej chwili gotowa była uwierzyć, że w życiu człowieka jest tylko próżnia, że nie istnieje ani ślepy przypadek ani tym bardziej życiowe i współczujące przeznaczenie.

Podczas jazdy nad jeziorno przyjeżdżenie omijała kontrowersyjny temat dachu. Przejechali jako pierwsi i Manfred natychmiast zaczął przygotowywać miejsce dla ogniska, odrzucając sterty liści z drogi wjazdowej. Przeglądała mu się w milczeniu, czekając aż porąbie gałęzie na opał. Wokół panowała cisza i tylko od strony domku państwa G. słychać było ujadanie psa, a w ich oknie, jak ognik zgubiony na moczarach, paliło się światło. Boję się, powiedziała nagle Sylwia B. Manfred szedł właśnie w jej stronę, drapieżny i

czujny, ubrany na czarno, trzymając w prawej dłoni wielką siekiere. Czego się boisz, zapytał, a ona odparła: nie wiem, to irracjonalne. Czuliła, że on jej nie rozumie, ale nie miało to już znaczenia. Co jest irracjonalne, pytał dalej, więc znów odpowiedziała, że nie wie i wtuliła twarz w kląpę jego ubrania. Pachniał wieloma odcieniami woni, ale od razu rozpoznała składowe jej kompozycji, tytoń, pot, cukierki miętowe, mydło i perfumy. Kobięce perfumy. A ściślej, perfumy o zapachu mocnym i duszącym, jakich ona sama nigdy by nie użyła.

Goście zjawili się punktualnie, przyjmując obecność Manfreda jako zupełną nowość. Ognisko zostało już zapalone, więc od razu podbiegli do płomieni i grzali sobie ręce, jakby dotyk kierownic zmienił je w zmarzlinę. Stasia zjawiała się mniej więcej w połowie, ani pierwsza ani ostatnia. To jest Manfred, a to Stasia, powiedziała Sylwia B. obserwując uważnie ich twarze i oczy. Lecz nic nie dostrzegła. Albo istotnie nic ich nie łączyło, albo byli, na użytek sytuacji, aktorami godnymi przyznania Oscara. Cześć, powiedział Manfred obojętnie, a Cynthia zaszczębiotała swoje zwykłe „jak się masz” bez odrobiny nacisku. Jednak Sylwia B. postanowiła nie zasypiać gruszek w popiele i poprosiła właśnie Cynthia o poradę i pomoc. Obiecując sobie w duchu, że nie przeoczy niczego, zwała na koleżankę zadanie nabijania kielbasek na patyki i opiekę nad ziemniakami, które piekły się w żarze.

Atmosfera ogniska była tak nudna i drętwa, jak może być tylko spotkanie obcych ludzi, którzy nie mają sobie nic do powiedzenia. Jedynym, w odczuciu Szwabki, plusem rozmowy był fakt, że nikt nie wspominał o niedawnej kradzieży. Wciąż czekała w napięciu na pytanie o dach, ale jej przyjaciele najwyraźniej dawno już o nim zapomnieli. Rozmawiano o tym i o owym, aż w końcu sama Sylwia gotowa była zgodzić się, że jej dach nie znaczył nic, w porównaniu z wahaniem procentu bankowego, bessą na giełdzie, czwartą, niechcianą ciężką pani C. albo zakupem przez jej męża najnowszego modelu Mercedes-a. Zwłaszcza ta ostatnia sprawa wprawiła gości Szwabki w zawistne osłupienie i obywatelski zamiar złożenia donosu do Izby Skarbowej. Sprawa zaśalnego, starego dachu już nie istniała, a przecież jednak i mimo wszystko musiała istnieć, skoro Sylwia B. nie potrafiła oderwać się wewnętrznie od poczucia, że dach rzuca cień na całą teraźniejszość, a może nawet na całe jej życie.

Wśluchana we własne myśli i zapatrzona w tańczące nad ogniem iskierki, Sylwia B. na kilka minut straciła kontakt z otoczeniem. Mówiono o czymś nieważnym, zaczął wiać wiatr, skwierczało mięso piekące się w płomieniach. Nagle Sylwia B. podniosła oczy i z uczuciem odpowiadającym okrzykowi „a jednak!”, spostrzegła w kręgu gości dwa puste miejsca; rzecz jasna zniknęli ci, którzy powinni byli zniknąć, Manfred i Cynthia.

Z trudem opanowując dygot i dreszcz Sylwia B. rozejrzała się dyskretnie wokół siebie. Nigdzie, w promieniu światła, nie zobaczyła jednak ludzkiego cienia i znów uległa złudzeniu, że została przez kogoś nieznanego wciągnięta w okropną grę. I choć dałaby wiele, by się z niej wyrwać, czuła że jej los jest przesądzony z góry, bo cokolwiek zrobi lub nawet pomyśli, zostanie to przez jakąś obcą osobę wykorzystane przeciwko niej. To chyba jednak paranoja, zreflektowała się jednak po chwili, być może Stasia ma rację, powinnam odpocząć...

A jednak okazało się, że Stasia nie miała racji, a straciła ją właśnie dlatego, że poszła gdzieś w las i zniknęła bez śladu. Goście plotkowali teraz bez cienia umiaru, ale Sylwia B. nie słuchała, całkowicie zaprzężona ogromem swojej obawy. Nie miała już żadnej wątpliwości, że Cynthia i Manfred są ze sobą w zmowie. Tak, tam na parkingu Manfred chciał ją tylko komuś pokazać, być może skompromitować, wciągnąć w pułapkę, kto wie czy nie zrobić zdjęć ukrytą kamerą. I Cynthia również tam była, a potem dawała jej do zrozumienia, że o wszystkim wie i dlatego... Nie, Sylwio, stop, nie powinnaś tak dalej myśleć, zatrzymaj się, bo grozi ci szaleństwo, krzyknął w jej splątanych myślach ostatni już i bardzo słaby głos. Ocknęła się i wtedy zobaczyła Stasię, która spokojnie szła dróżką wjazdową w stronę ogniska. Nie wyglądała wcale na zmieszaną, ale włosy miała zmierzwiłone, a jej twarz, o własnie, jej twarz nosiła na sobie jakiś szczególny wyraz. Było to coś nieokreślonego, co Sylwia B. nazwała piętnem wina. Gdzie byłaś, chciała zapytać, ale w porę ugryzła się w język i nie zapytała. I nie tylko nie zapytała, lecz nawet uśmiechnęła się do przyjaciółki słodkim uśmiechem. Tamta również przesłała jej uśmiech. Czy były kwita? O, nie. Nowa odsłona Gry miała dopiero się zacząć.

Po chwili, wyrwany się z zajętego sobą gro- na, biegła już ścieżką w kierunku, z którego przedtem wyłoniła się Cynthia. Chciałoby się napisać, że biegła po jej śladach, ale nigdzie nie było widać żadnych śladów, więc ślady, jeśli istniały, zostały naprędce stworzone przez mózg Szwabki. Bo przecież jednak biegła po śladach, odkrywając raz po raz jakiś kamyk poza dróżką, chwiejącą się gałąź, atom ciepła na futrze, którą pobielili szron. Skradała się cicho i zwinnie jak Indianka, rozglądając się we wszystkie strony, choć jej instynkt podpowiadał, że ma biec ku światłu, czyli po prostu w okolicie szopy państwa G. Szopę tę sąsiedzi zbudowali własnoręcznie na początku lata. Była debiutem rzemieślniczym właścicieli, nieforemna i szpetna, a na dodatek zbyt duża jak na ich potrzeby. Wszyscy domownicy, łącznie z psem, brali udział w budowie, polegającej na przybiciu desek do czterech blisko rosnących drzew. Sylwia B. była autorką (o ironii!) pomysłu dachu z blachy falistej i z tej przyczyny wiedziała dokładnie gdzie są drzwi. Zbliżyła się ostrożnie do budowli i zatrzymała ukryta za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała, ale przecucie kazalo jej iść za nim, wciąż za nim, nie bacząc na ukryte pułapki i niebezpieczeństwo. Ona również weszła na ganek, zapukała, drzwi otworzy się przed nią, jak za drzewem. Wstrzymała oddech, choć poza odgłosami ogniska nie dochodził w to miejsce niemal żaden dźwięk. Niemal żaden. A raczej żaden, z wyjątkiem cichego skrzypienia zawiasów, które drgnęły, by wypuścić z ciemnego wnętrza sylwetkę Manfreda. Szedł nie podejrzewając, że jest obserwowany, więc mogła iść za nim bez żadnego trudu. Tak jak sądziła, kierował się ku światłu, a biedna Sylwia B. pomyślała, że chyba zawirował, gdy zobaczyła, że wchodzi na ganek i puka głośno do drzwi państwa G. Drzwi otworzy się, powiedział coś, wszedł, a ciemna plama drzwi zmieniła się na oczach Szwabki w nieme pytanie. Niczego nie rozumiała

jego biegu ktoś z zewnątrz, ktoś obiektywny, spowiednik, psychiatra albo przyjaciel. Tak mogło być, lecz tak się nie stało. Szkoda. Złośliwość losu przejawia się również w tym, że nikt kto jest potrzebny nie zjawia się w porę.

Czyli nadal nie działa się zupełnie nic, poza dojrzywaniem w duszy panny B. niedobrych zamiarów. Nie zwierzała się z nich nikomu, udając że pogodziła się już z zagadką dachu i całą okolicą. Zamknęła się szczelnie we własnym wnętrzu, mówiąc i pokazując ludziom z siebie tyle tylko, ile dla zachowania pozorów zdawało się jej niezbędne. Lecz, o dziwo, znajomi odebrali tę zmianę jako zmianę na korzyść i Sylwia B. zrozumiwała jak płytka i ubogie jest jej z nimi porozumienie. Uważali, że jest spokojniejsza, gdy z największym trudem opanowywała łyżę i że sprawia im mniej kłopotu, kiedy wpadała w stupor twrogi przed wieloma różnymi krzywdami, jakie w bliskiej przyszłości mogą jej wyrządzić. Owszem, przyznawała, że aktualnie nie robią jej nic złego, lecz nawet ich obojętność miała od dnia kradzieży dachu jakiś dwouczynny sens. Dotychczasowa ufnosć i szczerość Sylwii B. zniknęły zupełnie, ustępując miejsca złowrogim emocjom. Narastały w niej i wokół niej jak sztywny kłosz, wzmagając w biednej projektantce mody wewnętrzne ciśnienie. Czasami ogarniało ją uczucie, że jest pociskiem, który lada moment gotów eksplodować, zabijając wszystko i wszystkich obecnych w sąsiedztwie. Panowała jednak nad sobą lecz, zdawała sobie z tego sprawę, że na sztukę panowania nad sobą wkrótce zabraknie jej sił...

Manfred niczego nie dostrzegał, a nawet jeśli dostrzegał, zachowywał się wobec Sylwii B. (i zapewne nie tylko wobec niej), tak, jak miał w zwyczaju. Czasem dzwonił do niej czule wpraszając się na obiad albo na kolację, a kiedy indziej pozostawał nieuchwytny i tłumaczył się wykrętnie tajemniczą zawodową. Otaczająca go aura sfinksa przygasła z czasem i stał się podobny raczej do chimerycznego choć udomowionego psa. Miał jednak cechy zdecydowanie miłe i należało do nich choćby samodzielne gotowanie, gdy nie miała ochoty go karmić, prasowanie własnych koszul i karna zgoda na wynoszenie kubłów ze śmieciami. Miłe było również to, że okazywał Sylwii pewne przywiązanie, a znowu do cech niemiłych należało rozciąganie tej samej cechy na inne kobiety. Nie miała pojęcia czy jest poza nią w jego życiu jeszcze druga osoba. Najpewniej tak, i właśnie dlatego Sylwia B. nie mogła się zdecydować, czy dyskretną detektywka zaliczyć do jego miłych czy raczej do niemiłych cech. W każdym razie teraz, gdy przeżywała kryzys, tak miłe jak i niemiłe strony znajomości z Manfredem kazały jej włączyć jego osobę w dojrzejaczący w niej plan. Wiedziała już, że nie spocznie nim nie uda się jej skonfrontować Manfreda i Cynthii. Postanowiła wyrzucić na nich trudną do sprecyzowania presję zewnętrzną, która skłoni ich do wyznania prawdy (o dachu, lecz nie tylko), a także porządnie przestraszy i strasząc, ukarze. Myślała o tym obsesyjnie, tak w pracy jak i w domu, zwłaszcza wieczorami, gdy Manfred na leżąco oglądał telewizję, z głową opartą o jej kolana. Głaskała go wtedy delikatnie po czole i policzkach, obmyślając jakąś nieistniejącą torturę, która zerwałaby mu z głowy skalp. Nie domyślała się niczego. W nocy, słuchając jak równo oddycha, nie mogła powstrzymać się od rozważań o gazach duszących i zaletach knebli. Rano, gdy wstawał, słuchała plusku wody w łazience i przypominała sobie prawa fizyki mówiące o reakcjach H₂O i prądu... Nie pytała już wcale o dach. Ten temat zniknął.

Któregoś wieczoru spytała go od niechcenia o praktyczną wiarygodność powieści Agaty Christie. Nie mam pojęcia, ziewnęła ze wzrokiem wbitym w telewizor. Mam na myśli jej precyzyjną analizę trucizn, ciągnęła jednak uparcie Sylwia B., wiesz o co mi chodzi, o jej obsesję na punkcie arszeniku i innych środków odurzających... Wzruszył na to ramionami, zauważając że nawet modystki powinny wiedzieć, że arszenik nie odurza. Nie jestem modystką, oburzyła się Sylwia B., która dobrze i od dawna wiedziała, czym jest a czym nie jest pocziwy arszenik. To wszystko jedno, mruknął Manfred odwracając się od Sylwii i od ekranu na drugi bok. Nie sprecyzował bliżej braku różnicy i chyba sam jej nie dostrzegał skoro w pięć (Sylwia liczyła) sekund zasnął.

Gruntowny kurs farmakologii odbyła więc u kogoś innego, nieważne u kogo. Był to jednak ktoś poważny i naprawdę znający się na rzeczy, kto obnażył przed Sylwią B. fałsz lady Agaty, a także oświadczył pannie B., że nie istnieją środki idealne, czyli pozbawione smaku i zapachu, działające w małej ilości, skutecznie i szybko. Dowiedziała się, że wszystko, nawet trucizny, mają zalety i wady, lecz jeśli Sylwia B. chce koniecznie uspić swego chorego psa, rozmówca będzie się starał udzielić jej rad. Naprawdę chciała. Ta sprawa trzymała ją od dawna, wyznała odchodząc.

Gdy wyszła na ulicę, spostrzegła, że po raz pierwszy w tym roku spadł śnieg. To było bardzo dziwne, choć całkiem zwykle, że świat wyglądał zupełnie inaczej przed i po. Przed i po? Tak, przed i po jej decyzji, przed i po wewnętrznej walce, w jakiej zapadła niewidzialna klamka. Szła po chodniku chuchając przed siebie i patrząc jak kłęby pary wirują w powietrzu. W świetle latarni śnieg był właśnie tym, czym być powinien, białym całunem, zasloną, opaską na oczach.

W domu czekała na nią niespodzianka, świadcząca, że sprzyja jej samo przeznaczenie. Z taśmy automatycznej sekretarki rozległ się głos Stasi: chciałabym się z tobą pilnie zobaczyć. Przy drugim nagraniu to samo, Cynthia, prośba o spotkanie. Musi być bardzo zależy, pomyślała Sylwia B. skoro dzwoniła dwa razy. Lecz niemal natychmiast zadzwonił telefon i żywy głos Stasi powtórzył po raz trzeci swój nagły apel. Co się stało, spytała Sylwia B. starając się, by jej słowa brzmiały obojętnie. Nic złego, odparła na to Cynthia, muszę ci coś powiedzieć. Czy to dotyczy mojej osoby? przeraziła się Sylwia B. starając się nie upuścić na podłogę fiolki z lekarstwem. I tak i nie, odpowiedziała głębszym jej rozmówczy, nie bój się, kiedy usłyszysz, zaczniesz się śmiać i przyznasz, że to drobiazg. Ładny mi drobiazg, pomyślała ponuro Sylwia B., zdająca sobie mniej więcej sprawę, czego może spodziewać się po przyjaciółce. Na pewno nie chodzi o drobiazg skoro ta chytra łasica dzwoni jak najęta aż trzy razy pod rząd! Ale powiedziała siliąc się na słodycz: dobrze, kochanie, gdzie i kiedy? O piątek? W ustronnym miejscu? Zgoda, niech będzie „Riviera”...

Tak więc to niezupełnie Sylwia B., lecz raczej sam los zdecydował o czasie i o miejscu akcji. „Riviera” była oczywiście wymarzoną dekoracją i Sylwia B. udała się tam natychmiast, by w spokoju zaplanować dalszy ciąg tego, co wcześniej czy później musiało się stać. Wciąż padał śnieg, co było piękne, ale podnosiło do rangi ważnego problemu kwestię śladów. Sylwia B. przyjechała samochodem, ale wiedziała, że Cynthia również przyjedzie samochodem i że, o ile plan się uda, Manfred także przyjedzie samochodem, a te trzy samochody, ustawione obok siebie, z odległości kilometra opowiedzą byle przechodniowi o spotkaniu, które powinno pozostać głęboką tajemnicą. Naturalnie samochody można odprowadzić w las, po wyciągnięciu kluczyków z kieszeni kierowcy. Lecz co ze śladami na śniegu? Co z koleinami, na jakie detektyw Manfred z zawodowego nawyku zwróci uwagę, nim wejdzie do domu? Nie miała pojęcia, jak poradzi sobie z tą sprawą, a ponieważ nic nie przychodziło jej do głowy, postanowiła po prostu na razie o niej nie myśleć. Zaparkowała własny samochód w ten sposób, by wpuścić samochód Stasi do przodu, a samej w każdej chwili móc cofnąć i odjechać. Zgasła silnik, założyła blokadę skrzyni biegów i kierownicy, a potem odruchowo sprawdziła wzrokiem czy „Riviera” na pewno ma dach. Miała. Wtedy z ust Sylwii B. wyrwało się westchnienie, lecz trudno powiedzieć, czy było to westchnienie ulgi czy też żalu.

Weszła do środka. Ogrzewanie gazowe działało od dwóch tygodni, więc powitało ją miłe ciepło i nikły zapach wapna świadczący o wilgoci. Jeszcze raz, w zamyśleniu, obezła pokoje, kuchnię, spiżarnię i składzik na narzędzia. Nic się nie nadawało. Jedno pomieszczenie za duże, a drugie za małe, jedno za nisko i z oknem, a drugie za wysoko. Wreszcie pomyślała o pralni i zbiegła na dół jak niesiona na skrzydłach. Tak, było to miejsce idealne, ciche i ciemne, wtopione w sam kąt domu, gdzie nawet warkot pralki ginął w wybitych korkiem ścianach. To tu, powiedziała Sylwia B. stając w progu. To tu, powtórzyła głośniej, a potem, sama nie rozumiejąc dlaczego, krzyknęła jeszcze raz: to tu! Odpowiedziała jej cisza. Na chwilę ukryła twarz w dłoniach i pomyślała o długiej drodze wewnętrznej, dziwnej i niespodziewanej, na którą ją sprowadził skradziony dach.

Gdy za oknem rozległ się warkot samochodu Cynthii, wszystko było już przygotowane – kawa w ekspresie, wrząca woda na herbatę, wino w karcie (ciężkie, słodkie, o intensywnym smaku i zapachu), kieliszki, piernik z piekarni i odpowiednia na tę okazję mina. Na zewnątrz zapadał zmierzch i Sylwia B. zauważyła z zadowoleniem, że śnieg pada i pada, jakby lojalnie spełniając losową powinność. Zresztą Cynthia zaparkowała na zewnątrz, poza ogrodzeniem, co ułatwiało jeszcze potencjalne zadanie pozbycia się samochodu. Tymczasem jednak... Dobry wieczór, kotku, rozległ się jej głos. Dobry wieczór, powtórzyła Sylwia jak echo. Wejdz, jakie ładne futerko, zdejmij czapkę, tu są pantofle, proszę dalej, ślicznie wyglądasz, usiadz.

Cynthia istotnie wyglądała ślicznie. Wprawne oko Sylwii B. rozpoznało natychmiast kilka ciekawych szczegółów, ale w jej obecnym stanie ducha nic nie mogło naprawdę przemówić do niej ani zainteresować. Siedziała w swoim fotelu jak rewolwerowiec, spodziewając się, że Stasia lada chwila wyciągnie z kieszeni coś kompromitującego. Ale nic takiego się nie działo, Cynthia piła herbatę z cytryną, padał śnieg, wiał wiatr, było pięknie, zacisnie i ciepło.

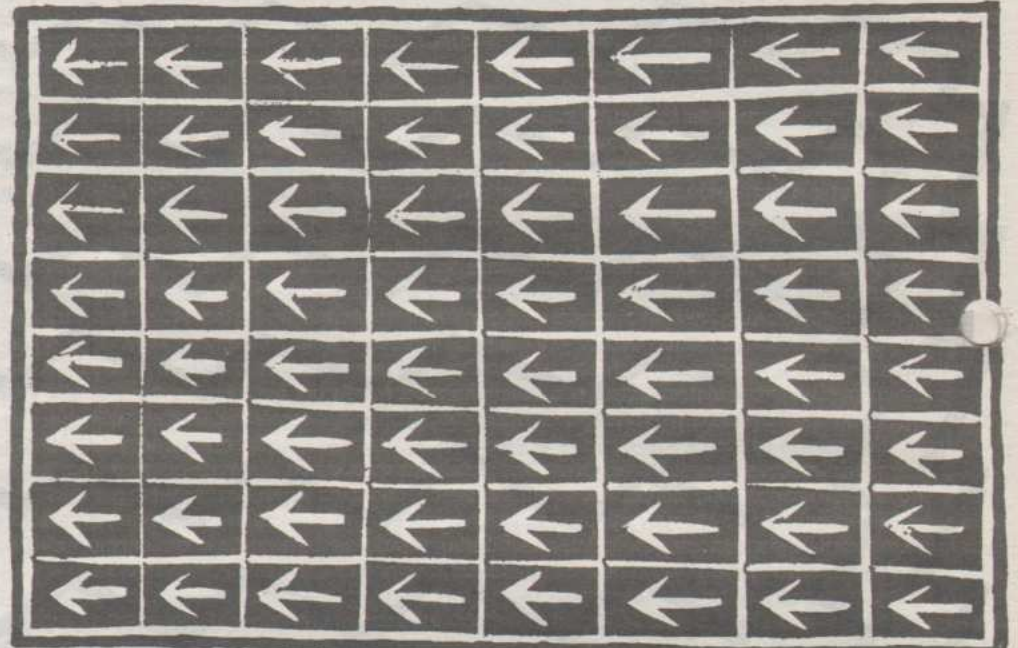
Miałaś mi coś do powiedzenia, zauważyła wreszcie chora z napięcia Sylwia B. Tak, potwierdziła Stasia i dalej piła słodką herbatę, kiwając głową potakująco, gdy Sylwia zerwała się z miejsca pytając gestem, czy ma nalać wino do smukłych kieliszków. Wciąż jednak panowało milczenie, milczenie tak

głębokie i chore, że słycać było poprzez wiatr, jak tworzy się warstwa lodu u brzegów jeziora. Wreszcie Sylwia B. spytała głosem, który mógłby zamrozić cały Atlantyk: dość tego Stasiu, mów co masz mi do powiedzenia albo wyjdź (niech czytelniczki zauważą że nawet w tym zaawansowanym momencie akcji jej bieg, gdyby taka była wola bohaterów, mógłby się cofnąć). Lecz nie, nieczegóż już nie można cofnąć, skoro Stasia podnosi w górę roziskrzony oczy i biorąc do ręki zatruty kieliszek mówi do Sylwii: w ubiegłym tygodniu zaręczyłam się z A. I wypija wino od razu, jednym haustem, nie zwracając uwagi na jego kolor, zapach i smak.

Zdawało się, że cisza nie może być głębsza, a jednak stała się głębsza o chwilową nieobecność bicia serca Sylwii B. Jak to, wyszeptała po dobrej minucie, pobladła i dysząca ciężko projektantka mody, jak to – zaręczyła się, jak to – z A., jak to – chcesz żebym wiedziała, co to wszystko znaczy, wytłumacz się, udowodnij... Lecz było już za późno, bo lek usypiający zaczął działać i Stasia, mrugając oczami, wyszeptała tylko, że A. oświadczył się jej, gdy tylko dotarli do niego wieści o Manfredzie. Bądź sprawiedliwa Sylwio, mamrotała coraz bardziej niezrozumiale, ale to przecież ty, a nie kto inny, zaprosiłaś tego podejrzanego typka na swoje przyjęcie. Nawet ja, przy całej mojej tolerancji, byłam tym zaszokowana, ale biedny A. musiał zrozumieć, że wasze charaktery nigdy się nie pogodzą. Wyznał mi, że bardzo się na tobie zawiodł, chciałam cię bronić, przysięgam, ale był taki wzbudzony, taki nieugięty... Tłumaczyłam mu, że kobiety mają czasem swoje kaprysy, że powinien zrozumieć, że zdrada bywa słodka. Wszystko na próżno, wierz mi Sylwio, robiłam co mogłam... O reszcie opowiem ci później, jestem taka senna... to chyba to wino... A. i jak bardzo cię lubimy, z pewnością pozostaniemy przyjaciółmi, naprawdę tak myślę, naprrrrrr... ufffff.... ooooooch....aaaalezzzzzz...

Gdy Sylwia B. wynurzyła się z pralni, dociągnawszy tam ciężkie i chrapiące ciało Cynthii, jej twarz miała rysy wystrzone i woskowe, a w oczach determinację zdradzonej kobiety. To co zaledwie usłyszała nie tylko wstrząsnęło nią, ale pogłębiło jeszcze wcześniejsze obawy. Powinna się była domyślać. Lecz czego domyślać? Czy tego, że cały świat jest jedną spiskującą mafią, czy też raczej tego, że ona sama, Sylwia B. od dawna jest chora? Lecz nie, czas na domysły skończył się, pozostawiając po sobie pustą i ciemną otchłań. W tej wielkiej pustce wirowały samotne, ludzkie udreki, każda obca wszystkim innym i cierpiąca jeszcze bardziej przez niezdolność do zaufania swoim towarzyszkom. A... Nawet on ją opuścił. Zamknęła oczy. Być może kochała go kiedyś. Być może kochała go nadal.

Gdy Manfred zadzwonił, powiedziała mu, że jest jej obojętne czy przyjedzie do „Rivieri” czy też nie. Zaniepokoił się tym dziwnym wyznaniem. Czy coś się stało, zapytał, czy wszystko w porządku? Odparła,



Jan M. Szczurek, Rysunek

że tak i odłożyła słuchawkę. Swoją drogą Cynthia miała rację, cóż to za podejrzany typ! Choć trzeba przyznać, że Cynthia jest kimś jeszcze bardziej podejrzany i, gdyby się nad tym głębiej zastanowić, istnieją pomiędzy nimi znaczne podobieństwa. O ile Manfred przyjedzie i zbłądzi się do tego stopnia, by wypić zatrute wino, Sylwia B. zamknie ich oboje w pralni i będzie tam trzymać bez światła, jedzenia, picia i WC, aż do wyjaśnienia wszystkich bez wyjątku spraw. Wszystkich, zaczynając rzecz jasną od dachu, a kończąc na zemście za A. i za siebie samą. Nie zrobi nic więcej. Gdy się obudzą ze snu, zastuka do drzwi i da im do zastanowienia po prostu nieograniczony czas. Będą tam siedzieć zamknięci tak długo, aż się Sylwia B. zmęczy się słuchaniem ich wyjaśnień. A nawet dłużej, pięć dni, sześć dni, tydzień, dwa... Jak długo może wytrzymać człowiek zamknięty w pralni nad jeziorem? Długo. A więc i oni będą żyć długo. Umyła naczynia i usiadła nieruchomo w fotelu, czekając aż, bez jej pomocy, wypełni się los. Wszędzie może się jeszcze zmienić, Manfred zmieni zamiar, pogniewa się i nie przyjedzie, będzie miał wypadek na drodze, utknie w korku albo, w najgorszym razie, nie zadziała na jego stalowe nerwy usypiający lek...

Nic z tego, przyjechał szybciej niż Sylwia B. mogła się spodziewać. Wbiegł do „Rivieri” rześki, zarumieniony od mrozu i nad wyraz czuły. Cześć kochanie, już jestem, wołał biegnąc po schodkach, a widząc Sylwię że zszarzała twarzą, wyciągnął spod kurki małego bukiet róż. Wzięła je ruchem automatu, zauważając mimochodem, że są to pierwsze kwiaty, jakie od niego dostała. Będziesz je odtąd dostawała częściej, obiecuje, powiedział Manfred tonem Romea. Po czym zapytał bystro: czy to samochód stoi przed domem? i kciukiem lewej ręki wskazał na grzęznący w śniegu kształt. To samochód Stasi, odpowiedziała zgodnie z prawdą Sylwia B., która wciąż dawała losowi szanse zmiany decyzji. Jest tutaj? spytał Manfred, rozglądając się podejrzliwie, nie widzę jej. Wyszła na spacer, powiedziała z westchnieniem Sylwia B., zjedz obiad, odpocznij, ona zaraz wróci.

Zjadł obiad. Gdy jadł, patrzyła na niego jak początkujący zoolog musi spoglądać na rzadki okaz ptaka. Teraz wreszcie odkryła jego żarłoczość, prostactwo, pospolitość. Zdradził ją, wykorzystując jej psychiczny stan. Powinna dostrzec to wcześniej. Trudno. Byłoby źle, gdyby nie dostrzegła tego nawet teraz.

Skończył jeść i wraz z obiedem skończyła się jego delikatność. Przysunął stół w stronę kanapy, postawił talerz z piernikiem w zasięgu ręki, zjął buty i w samych skarpetkach ułożył się wygodnie. Zdawało mu się, że widzę w szafie jakieś dobre wino, powiedział w stronę Sylwii uprzejmie, a jednak władczo. Posłusznie wzięła kieliszek, wspanała (niemal na jego oczach) potężną dawkę leku, załapała winem, podała mu, wypił. Usiadł tu przy mnie, poprosił, więc usiadła. Jesteś dobrą kobietą, Sylwio, powiedział nagle, im dłużej się znamy, tym bardziej cię cenię... To miło z twojej strony, odparła z ironią. Naprawdę, potwierdził ciepło, a jego ciemne oczy jeszcze pociemniały. Tak wiele chciałabym ci powiedzieć, zaczął, tak wiele... W porządku, przerwała, jeszcze mi powiesz, mamy czas. Nie, zaprzeczył, czasu zawsze jest za mało. Chciałabym powiedzieć ci to teraz, moja Sylwio, chciałabym, żeby czas stanął i...o, do licha, jak strasznie chce mi się spać...

Patrzyła jak zasypiał i czuła nawet pewien podziw wobec organizmu, jaki stawał działaniu leku tak silny opór. Lecz jasne było, że zaraz mu ulegnie, jego ciało stawało się wiotkie, twarz zapadła się, a oczy gasły. Próbował patrzeć na nią, ale już nie mógł. Lubię cię, naprawdę cię lubię, jesteś jedyną uczciwą kobietą, jaką znam... wyszeptał z przymkniętymi oczami i zamknął je na dobre. Ale po chwili, gdy była już pewna że śpi, oknął się i po raz ostatni, z wysiłkiem spojrzął w jej stronę. Byłbym zapomniał, zamruchiał ledwie zrozumiale, ale ja przecież już dawno znalazłem twój dach. Odkryłem go w szpocie dwóch sąsiadów, wtedy, podczas przyjęcia. Ukradły go dzieci państwa G. Leży tam do dziś i niechże tam leży. Te szczeniaki powiedziały mi potem, że chciały zbudować z niego nową budę dla psa...

Wypowiedziawszy te słowa Manfred osunął się na poduszkę kanapy i zasnął. Sylwia B. pochylała się nad nim i wsłuchując się w jego miarowy oddech zaszepotała zdumiona: czy to już jest koniec? A w chwili później, prostując się, odpowiedziała ze smutkiem sobie i czytelnikom: tak, to koniec.

Anna Potoczek

CIĄG DALSZY ZE STR 3

się polskiego w Bredzie od pewnej pani, która podobnie jak moja mama wyszła za Polaka i sama uczyła się tego języka oblepiając kuchnię zdaniami w języku polskim, a potem przekazywała tę wiedzę grupie chętnych do nauki dzieci. Gdy byłem na drugim roku, otwarto studia polonistyczne, tak że można było studiować język polski jako główny przedmiot. Zostałem więc pierwszym studentem polonistyki w Holandii.

Kto tam wówczas wykładał?

Już w drugim roku przyjechał Michał Głowiński i od niego po raz pierwszy dowiedziałem się o Witkacym. Był to rok 72. Potem jeździłem do szkoły letniej w Poznaniu, gdzie też Witkacy był obecny. W różnych, ze się tak wyraża, postaciach na zajęciach z literatury i w przedstawieniach teatralnych.

Jak ze studenta polonistyki stałeś się tłumaczem?

W ogóle jest nas dwóch zawodowych tłumaczy z polskiego. Ten drugi nazywa się Gerard Rasch, jest ode mnie o cztery lata starszy i jego dorobek jest znacznie większy niż mój. Poznaliśmy się później, bo on ożenił się z Dunką i pojechał do Danii, tam zresztą skończył polonistykę, mieszkał jakieś 10 lat w Kopenhagdzie. Swoją pracę tłumacza zaczął od Schulza. I on mi pierwszy powiedział, że jest to bardzo trudny zawód, bo nie ma dużego zainteresowania literaturą polską wśród wydawców. Ale ja sądziłem, że to nie powinno być przeszkodą w moich zamiarach. Sam zresztą chciałem zacząć od tłumaczenia Prusa. Zanim przyjechał Michał Głowiński, na zajęciach z języka czytaliśmy opowiadania Prusa i bardzo mi się podobał jego język. Chciałem tłumaczyć *Lalkę*.

No i co?

Ta *Lalka* jest już przetłumaczona i leży w szufladzie pewnego starszego pana, który zresztą pośrednio przyczynił się do tego, że zostałem tłumaczem. Pisałem już o tym, więc w skrócie tylko powiem. W 79 roku szukając w Amsterdamie *Pożegnania jesieni* umówiłem się z Marianem Pankowskim w księgarni, gdzie podpisywał swoje książki. Obecni tam jego wydawcy, spostrzegłszy, że mówię po polsku i po niderlandzku zapytali, czy bym nie przejrzał holenderskiego przekładu *Smagłej swobody* Pankowskiego. Autorem tłumaczenia był właśnie ów pan od *Lalki*. Przekład był fatalny, trudno go było nawet poprawić, raczej należało wszystko zacząć od nowa. Wtedy wydawcy Pankowskiego zaproponowali mi tłumaczenie tej książki.

To było twoje pierwsze tłumaczenie?

Niezupełnie. Moje rzeczywiste pierwsze tłumaczenie to był taki grzech młodości, może o tyle mniejszy, że związany z krakowskim pisarzem. Przetłumaczyłem opowiadanie Tadeusza Hołuja *Uroda*.

Jak znalazłeś Hołuja?

To nie ja znalazłem, to mnie znaleźli. Z okazji któregoś tam lecia Polski Ludowej wydawano pod auspicjami polskiej ambasady antologię prozy polskiej i szukano wśród studentów uniwersytetu w Amsterdamie kandydatów na tłumaczy. I tak znalazłem mnie i mojego przyjaciela Fransa Jonga, który przetłumaczył *Worcella*.

A potem był Pankowski?

Nie, najpierw był jeszcze Kołakowski *Głównurty marksizmu*. Nie przetłumaczyłem go w końcu, bo przyjechałem do Krakowa na mój drugi staż. To były bardzo ważne lata 80-81. Wiadomo, jak niesamowite działy się tutaj rzeczy. Oczywiście chodziłem na jakieś zajęcia do profesora Błońskiego, ale pracy, którą miałem napisać o cudzoziemcach u Witkacego, nie napisałem, bo wciągnęło mnie życie. Równocześnie przygotowałem wraz z Gerardem Raschem, któremu odstąpiłem część Kołakowskiego, antologię współczesnych polskich opowiadań.

Gdy debiutowałeś jako tłumacz, jak wyglądał rynek polskiej książki w Holandii? Co tłumaczono? Co się podobało?

Był Pankowski, wchodził Konwicki, Gombrowicza tłumaczyli dwaj tłumacze, albo nawet trzech, był Schulz i Lem. I to chyba wszystko.

A z klasyki polskiej?

Stary przekład, a raczej opracowanie i to nie bezpośrednio z polskiego *Quo vadis* Sienkiewicza, *Chłopi* Reymonta w serii noblistów. Choć lista tłumaczeń zrobiona w Gandawie obejmuje przeszło 200 pozycji i sięga wieku XVIII. Ale są na niej nazwiska, o których nigdy nie słyzałem. Aczkolwiek są i takie niespodziewane tytuły jak *Zły Tyrmanda* czy *Sól ziemi* Wittlina, jakaś książka Wandy Wasilewskiej. Wracając do klasyki: jest parę sonetów Mickiewicza, coś Krasieńskiego, *lwaskiewicz*...

Sledźmy więc dalej twoją biografię tłumacza. Są lata osiemdziesiąte. Masz w swoim dorobku parę książek. Czy już zaczął się twój romans z Witkacym?

On trwa, ale tymczasem zajmuję się prozą współczesną. Fascynowałem się wtedy Andermanem; włączyłem go zresztą potem do drugiej antologii, którą zrobiłem już sam. Tłumaczyłem wtedy Bajona, Brandysa, Andrzejewskiego, Mrożka, Filipowicza, Głowackiego. No i oczywiście, bardzo chciałem tłumaczyć Witkacego.

I to powieści! Pomysł zaiste straceniły! Skąd się wzięła ta miłość do Witkacego?

Na to pytanie nie umiem sam do końca odpowiedzieć, choć teraz na pewno bliższy jestem tej odpowiedzi niż kiedyś. Ze to jest pomysł straceniły, tego nie byłem w pełni świadomy, choć

mój przyjaciel, tłumacz Gombrowicza ostrzegał mnie: to powieść gruba i nudna, nie znajdziesz dla niej wydawcy w Holandii.

A czyż tak nie jest? Nawet fachowcy od literatury bywają w głębi ducha tego zdania.

Gruba jest na pewno, ale nie nudna! Ja nie czytałem jej jako historyk literatury. Ja widzę twarz Witkacego, widzę jego uśmiech, jego wszechogarniającą kpinę: kpi z siebie, z Bergsona, z czytelnika. Równocześnie od pierwszej strony odczuwałem tę wewnętrzną konieczność, która doprowadziła do napisania książki.

Czyli czytasz ją przez osobowość Witkacego? W egzystencjalnym — ze się tak wyraża — z nią zespoleniu? Jako osobisty przekaz autora? Jak widzisz, już zadając te pytania staczam się w patetyczną niejasność...

Rzeczywiście, opisując to łatwo wpaść w patos i zadęcie, ale nie umiem znaleźć sposobu, by to właściwie wyrazić. Tłumaczyłem tę książkę trzy lata, trzy miesiące, dwa dni, czternaście godzin i czterdzieści osiem minut i ani przez chwilę nie żałowałem, że podjąłem się tej pracy. To jest przy najmniej dowód, że ja sam się nie nudziłem. Teraz tłumaczę *Pożegnania jesieni*. I mogłem na jakiś czas przerwać pracę nad tą książką, by potem do niej powrócić. W przypadku *Nienasyceń* to było niemożliwe. To był rodzaj transu, z którego z żalem wyszedłem.

Słucham tego ze zdumieniem i zazdrością. Moje osobiste stosunki z tą powieścią nie układały się najlepiej, potem zaś, gdy próbowałam czytać ją ze studentami, na ich zresztą życzenie, skończyło się to absolutnym fiaskiem: większość z nich po prostu nie doczytała jej do końca. Mieliście ogólne wyobrażenie o tej powieści, ale akt lektury okazał się czymś zgoła niepodniecającym. Nie mówiąc już o transie. A jak zareagowała na nią publiczność holenderska?

No cóż, 2 grudnia 91 za dwanaście trzecia, gdy przetłumaczyłem ostatnie zdanie, myślałem, że aniołowie zadną w trąby, że stanie się coś nadzwyczajnego. A tymczasem nic. Poczulem tylko jakąś pustkę. Moja przyjaciółka, w której domu kończyłem tłumaczenie pogratulowała mi, ale chyba nawet nie poszliśmy na obiad, by to uczcić...

No cóż, pustka i gorzyc spełnienia, na którą od wieków skarży się ludzkość...

Tak. Więc jest ten grudzień 91, do ukazania się książki upłynęło jeszcze rok. Pół roku poprawiałem, najpierw swój własny tekst, potem korekty. Wreszcie musialem się ostatecznie rozstać z tekstem, zostawisz w poczuciu niepewności i zważenia. Wreszcie nadszedł dzień, kiedy książka miała się ukazać. W wydawnictwie odbywało się przyjęcie z okazji wydania grudniowego numeru „De Gids”. To jest najbardziej znane holenderskie pismo literackie, którego dodatek „Ze świata” przygotowany był w tym numerze przede mną i całkowicie poświęcony Witkacemu, był tam szkic Błońskiego, artykuł o Schulzu, mój szkic o trójki: Gombrowicz - Schulz - Witkacy. I na tym przyjęciu podszeł do mnie redaktor, któremu powierzyłem dzieło, i powiedział: mam dla ciebie dwie wiadomości, jedną dobrą, drugą złą. Zaczniemy od złej: ukazała się dzisiaj pierwsza recenzja twojego przekładu, drugocząca, nic nie zostało z Witkacego. Wiadomość dobra: książka jest gotowa.

Nie bardzo rozumiem? Recenzja równolegle z ukazaniem się książki?

Tak wygląda polityka wydawnicza. Wydawnictwo chciało zaprezentować Witkacego jako odkrycie literackie. Wydrukowano więc wcześniej 25 egzemplarzy i rozesłano do recenzentów. Tak że oni książkę znali, napisali swoje recenzje, ale nie mogli ich opublikować przed dniem ukazania się książki. A w dniu 14 stycznia pojawiły się równocześnie: książka i pierwsza recenzja. Mieliśmy nadzieję, że recenzja ta nie pada tonu innym krytykom, bo tak mogło się zdarzyć. Okazało się zresztą, że recenzenci nie bardzo sobie mogą z tą książką poradzić, że mają kłopoty z jej umiejscowieniem. Co nie oznaczało bynajmniej niepowodzenia. Najlepszym dowodem jest choćby to, że w poważnym tygodniku „De Groene Amsterdammer” (czyli „Zielony Amsterdamczyk”), czytany przez inteligencję i darzonym zaufaniem, *Nienasyceń* znalazło się wśród czterech książek typowanych jako „książka miesiąca” i taką książką miesiąca w końcu zostało. Witkacy zwięził tu Casanovę, Maxa Broda i jakiegoś holenderskiego dziennikarza. Z tego werdyktu jury nie wynika wszakże, iż jest ono tą książką zachwycone. Przeciwnie, jasno się w nim mówi o ulomnościach powieści, o jej niechlujstwie. Przy tym wszystkim jednak uznano ją za ważną książkę.

Zanim jeszcze wrócimy do recepcji, ciekawa jestem, w jaki sposób utrzymywał się przy życiu przez trzy lata tłumacz Witkacego? Czyli krótko mówiąc, z czego żyje w Holandii tłumacz-fanatyk nie uprawiający innego zawodu?

Najpierw miałem stypendium Funduszu Sztuki miasta Amsterdam na tłumaczenie *Nienasyceń*...

A jak ci się udało przekonać miasto Amsterdam, że warto tę książkę przetłumaczyć?

Ogłoszono rodzaj konkursu dla młodych tłumaczy egzotycznych literatur. Młodym wtedy nie byłem, ale literatura polska jest dość egzotyczna i ku memu zdumieniu, ale i zadowoleniu otrzyma-

łem 10 000 guldenów, czyli po potrąceniu podatku — 7000. Zasiłek dla bezrobotnych wynosi 1000 guldenów miesięcznie, czyli mogłem za to przeżyć skromnie około pół roku. Potem była zaliczka z wydawnictwa...

A jak przekonałeś wydawcę?

Nie wiem. Po prostu, jak mi później powiedział, zaraziłem go swoim entuzjazmem. Miał świadomość, że to będzie strata wydawnicza, ale dał mi wolną rękę — nie ustaliliśmy sztywnego terminu, choć w umowie był rok 88.

Więc w zimnym świecie wolnego rynku jest miejsce na sentymentalny kaprys?

Z tego wynika, że tak. Co więcej, kaprys się powtórzył, bo zanim książka wyszła, ja już napomknąłem, że Witkacy napisał więcej powieści. I wydawca zgodził się na wydanie *Pożegnania jesieni*. A nie jest to oficyna prowadzona przez szaleńców czy filantropów. To jest największe wydawnictwo holenderskie skądinąd skrupulatnie liczące każdy grosz...

Czyli otrzymałeś zaliczkę z wydawnictwa...

Do tego doszło stypendium ze strony Funduszu Literatury finansowanego przez Ministerstwo Kultury. W latach siedemdziesiątych, czyli parę lat przedtem zanim zacząłem zajmować się tłumaczeniem, stworzono taki fundusz: gdy tłumacz ma podpisaną umowę, może starać się o stypendium na czas tłumaczenia. I dostałem je na Witkacego, na obie powieści.

Domyślam się, że przy tym wszystkim nie opływasz w dostatki. A powracając do dalszych losów książki. Jak się sprzedaje? Zapewne nie jak świeże buleczki?

Tak dobrze w istocie nie jest. Ale jest jedna księgarnia w Amsterdamie, nazywa się „Ate-neum”, gdzie *Nienasyceń* rzeczywiście sprzedaje się jak świeże pieczywo. Na liście bestsellerów tej księgarni opublikowanej w „De Groene Amsterdammer” *Nienasyceń* utrzymywało się przez sześć tygodni w pierwszej dziesiątce. Książka leżała przy kasie przez długi czas (u nas gdy książka leży, to dobry znak, gdy stoi, znaczy, że przestała się sprzedawać) — prawie pół roku.

W czym widzisz atrakcyjność Witkacego dla holenderskiego czytelnika? Patrząc obiektywnie, nie rozkochanym wzrokiem entuzjasty?

Oczywiście, zdaje sobie sprawę, że wielu czytelników może tę książkę odrzucić. Ci, z którymi rozmawiałem i którzy ją przeczytali, zachwycają się jej językiem. Niesamowitością języka. Jego halucynacyjnym tokiem. Dziwnością słów. Są też tacy, którzy czytają ją ze zwykłego snobizmu. Bo książce towarzyszył duży rozgłos. Tak czy owak powodzenie książki przekroczyło moje oczekiwania. Liczyłem, że sprzeda się 1500 egzemplarzy, co już jest satysfakcjonujące dla wydawcy. Podczas wręczania nagrody powiedziano, że rozszedł się prawie w całości pierwszy nakład. Niemal 3000 sprzedanych egzemplarzy. Dla takiej książki to jest bardzo dużo.

Powróćmy jeszcze do twojej pracy. Trzy lata z życia to też jest coś!

To nie jest trzy lata z życia. To jest dodawane do życia. Nie powiem, że bardziej intensywnie żyłem. Ale ja lepiej rozumiem teraz życie. I siebie. Choć oczywiście, jak się obcowalo z tym pisarzem i z tą książką, na wiele rzeczy nie było już czasu.

Czyli w jakiejś mierze Witkacy decydował o twoim sposobie życia? Czy wykreślił się czegoś dla Witkacego?

Na Witkacym skończył się mój romans życia trwający 12 lat. Moja narzeczona ostrzegала mnie parę lat temu: ty mi się wymykasz z ręk przez tę cholerną książkę, której ja nie znam do końca.

Więc Witkacy was rozdzielił?

Mnie podzielił na dwóch, ale także odzielił mnie od otoczenia. Nie chcę naszego rozstania przypisywać jedynie Witkacemu. Po prostu jeśli życie tłumacza toczy się w samotności, to życie tłumacza *Nienasyceń* tym bardziej. Bo to jest książka, która neguje jakąkolwiek miłość. Możliwość bliskiej zżyłości, obcowania jednej osoby z drugą.

Mówiłeś, że Witkacy cię wzbogacił, a tu okazuje się, że coś w tobie zniszczył?

Wzbogacił, bo dotknąłem dna. Byłem osobą raczej wesołą, może nie bardzo komunikatywną, ale byłem lubiany przez ludzi, byłem towarzyski. Tymczasem zobaczyłem, że ja nie jestem kimś do lubienia, że jestem „świnia”, tak samo jak Witkacy i jak wszyscy jesteśmy „świniami”. Witkacy mi pokazał ten punkt metafizycznej niedoskonałości. Także przez niedoskonałość językową.

No i teraz będziesz żył z tą świnia w sobie?

Na początku miałem silne poczucie winy. Mam je zresztą i teraz. Choć kobiecie, z którą się rozstałem, zyczyłbym raczej siebie dzisiejszego niż dawnego. Bo jestem pełniejszy, choć może mniej układny. Mogłaby teraz ze mną prowadzić rozmowy istotne. Co nie przypadkiem zapożyczam od Witkacego. Może to brzmie zbyt pretensjonalnie i zbyt dosłownie, ale takie są moje rzeczywiste odczucia. Nie jest zresztą tak, że żyję wyłącznie w jakimś mrocznym wnętrzu, na horyzoncie pojawia się też światło. W zeszłym roku w listopadzie, na balu wydanym z okazji święta wyzwolenia Bredy podeszła do mnie dziewczyna, jak się potem okazało także polskiego pochodzenia i podeszła dlatego, że słyzała mnie mówiącego po polsku. Miała na imię Hela, wyglądała i poruszała się jak główna bohaterka *Pożegnania jesieni*. I jedno z pierwszych zdań, jakie wypowiedziała, było: „wysysam wszystkie soki z życia”.

Słowa wyjęte prosto z ust Heli Bertz i wypowiedziane jakby głosem Bertzówny, którą zawsze uważałem za najpiękniejszą postać kobiecą w literaturze światowej i którą zawsze chciałem spotkać. Więc oczywiście, natychmiast zakochałem się w tej dziewczynie. Nieważne, że była to miłość nieodwzajemniona. Najważniejsze, że wtedy właśnie ujrzałem to „światło”.

Niepokojąco i niebezpiecznie mieszasz sztukę z życiem, fatalna modernistyczna szkoła...

To samo powiedział mi mój wydawca, gdy mu to opisałem.

Wróćmy na twardszy grunt — pracy tłumacza. Jakie były największe trudności w tłumaczeniu Witkacego?

Nie miałem dużych trudności. Naprawdę, więcej kłopotu sprawia mi Korczak czy Herbert. A dlaczego? Bo Herbert jest czysty, a Witkacy niechlujny. Potraktowałem swoje zadanie poważnie. Poważniej niż Niemiec czy Anglik. Anglicy zrobili po prostu opracowanie. Jest to po angielsku gładka książka, czyta się ją jak dobrze napisaną powieść. Niemieckie tłumaczenie w znacznej mierze lekceważy różne językowe koncepty Witkacego, po prostu pomijając trudniejsze miejsca. Ja robiłem, co w mojej mocy, by znaleźć odpowiedniki tych semantycznych zabaw, dziwołogów, skojarzeń, co oczywiście nie było łatwe, ale mnie wciągało. Zachowałem także rytm prozy Witkacego, nie łamałem zdań, nie upraszczałem szyku. Powiedziałbym, że tłumaczyłem Witkacego po Bożemu...

A jak wyglądały twoje największe kłębki?

Może zacząć od wygranej. Jest w *Nienasyceń* słowo pisane z dużej litery — Ałlawerda. Piosenka jest tam śpiewana na melodii Ałlawerdy. Żaden słownik tego nie notuje, nikt ze znajomych i także witkacologów w Polsce nie umiał mi powiedzieć, co to znaczy. Zostałem więc to słowo w oryginalnym brzmieniu. Ale w pewnym momencie, tłumacząc *Rondo* Brandysa natknąłem się tam na scenę, mająca za tyło wojenną Warszawę: na podwórku stoi grupka gruzińskich żołnierzy i śpiewają ałlawerdy. Pojechałem więc do Brandysa. Nie tylko po to, by zapytać go o ałlawerdy, lecz żeby omówić problemy związane z *Rondem*. Na końcu przedstawiam mu rzecz, a on się zaczyna śmiać. I mówi: „Panie Karolu, ja też nie wiem. Znam to określenie z dzieciństwa, moi koledzy używali tego określenia, ale nie umiem powiedzieć, co to znaczy”. Rozczarowany, wracam do Holandii, już złożyłem *Nienasyceń*, ale jest festiwal Witkacowski w Krakowie, spotykam tu Jerzego Pomianowskiego, który mi bez niczego objaśnia, co to były ałlawerdy. To są sprosne piosenki śpiewane w leibwardii petersburskiej. Ale była i kłębka. Chcę to poprawić, kiedy dojdzie do drugiego wydania. W pewnym momencie jeden z bohaterów *Nienasyceń* wstaje od fortepianu i rzyga na ruszczycki dywan. Byłem pewien, że to jakiś neologizm. Pomyślałem: może od nazwiska Franciszka Ryszczycy, malarza, rówieśnika ojca Witkacego? Więc zrobmy po holendersku także neologizm. Nie perski, nie afgański, ale „rustaans”. To nic nie znaczy, ale każdy to sobie kojarzy z egzotycznym krajem. Książka była już w sprzedaży, gdy zaszedeł do znajomego, u którego były tylko dwie książki: Saint-Exupery i Canetti, zdaje się, *Pochodnia w uchu*. Otwieram, czytam: patrzę, Jezus Maria, ja już wiem, skąd wziął się ten ruszczycki dywan. To jest miasto w Turcji, gdzie urodził się Canetti — Ruszczyca. To prawdopodobnie był dywan z Ruszczyca, a ja tu wymyślałem neologizmy.

Oto rola przypadku w życiu intelektualnym człowieka. Kończysz *Pożegnania jesieni*. Co dalej?

Zaproponowałem wydawcy *Bunga*. Myślałem też o przetłumaczeniu korespondencji z Malinowskim. Ale to wydawnictwo Meulenhoff, które moje dotychczasowe tłumaczenia Witkacego wydawało, powiedziało stanowczo: nie. Inne, owszem, chcą. Ale to musiałoby być coś zupełnie innego. Może *Niemyle dusze*? Nie wiem jeszcze.

Czyli w dalszym ciągu życie z Witkacym? Tak bez końca.**Ale nie z nim tylko?**

Nie. Teraz tłumaczę *Pannę Nikt*. A za pół roku *Biały kamień* Boleckiej. Ktoś też wystąpił z propozycją przełożenia *Paluby*. Chcę też wznowić za interesowanie *Hłaska*. Mam listę 10 ulubionych książek, które chciałbym przetłumaczyć: trzy pierwsze już wyszły.

Witkacy i...?

Herbert. *Barbarzyńca w ogrodzie*. Trzy miesiące temu się ukazał. Potem jest Strykowski, choć nie jestem pewien, czy holenderski rynek wchłonie kolejnego pisarza z kręgu tematyki żydowskiej, po Singerze, Potoku. Potem opowiadania Mrożka, Kuśniewicza *Lekcja martwego języka*. Chciałem wydać antologię opowiadań żydowskich, ale to też był pomysł sprzed „boomu” żydowskiego. Wciąż powracam myślą do Andermana. Jestem miłośnikiem młodej, przynajmniej dla mnie, holenderskiego czytelnika, obcującej prozy polskiej. No i oczywiście *Lalka*.

Nie doszliśmy jeszcze do 10, ale mniej więcej poznałam twój gust. Z planów wynika, że nie spoczniysz nawet na emeryturze.

Nie będę na emeryturze. Moja emerytura — a w Holandii każdy dostaje zasiłek, gdy kończy 65 lat, czy pracował, czy nie — wynosilaby 67 guldenów na rok, czyli 100 nowych złotych.

Więc tłumaczem będziesz do śmierci. Żyć — znaczy tłumaczyć? Tak? Dziękuję ci za rozmowę.

Redaktor

Jerzy Giedroyc Autobiografia na cztery ręce

Opracował i posłowiem opatrzył
Krzysztof Pomian
Czytelnik, Warszawa 1995.

O Jerzym Giedroycu mówiło się najczęściej po prostu: Redaktor. To „obiegowe powiedzenie” kryło w sobie głębsze znaczenie, które tak definiuje sam Giedroyc:

„... *Zespół «Kultury» niewątpliwie istniał i istnieje. Składa się on z osób, których opinie cenię i biorę pod uwagę. Redagowanie «Kultury» było dla mnie poruszaniem się między tymi osobami i dokonywaniem arbitrażu między wyrażanymi przez nie poglądami, niekiedy różniącymi się od siebie, a niekiedy wręcz nie dającymi się pogodzić».*

I dalej: *«Jeśli mam jakiś talent, to jest to talent reżysera: umiejętność dobierania tematów i ludzi».*

Zespół „Kultury” to nie tylko autorzy, współpracownicy spotykający się w Maisons-Laffitte, to byli często ludzie nie znający się nawzajem, występujący pod pseudonimami, ludzie o różnych rodowodach, różnych poglądach i gustach. Do „Kultury” przyciągała ich przede wszystkim osobowość Jerzego Giedroycia, postaci owianej legendą, będącej dla nas — autorów „Kultury” — uosobieniem niezależności i tolerancji.

Wydana ostatnio *Autobiografia na cztery ręce* potwierdza to przekonanie w całej pełni, przynosząc portret człowieka-institucji, który pracując dla Polski utracił życie osobiste. Wstrząsające jest wyznaczenie Giedroycia rzucone jakby mimochodem:

„... *Mam poczucie zmarnowanego życia. Mówię nie o ambicjach, ale o życiu czysto osobistym. Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem kosztem życia osobistego, którego nie mam. Bywa to niekiedy dokuczliwe. Przepuszczam jednak, że nie umiałbym żyć inaczej».*

Poczucie „zmarnowanego życia” przy jednoczesnym przekonaniu, że udało się jednak sporo dokonać, mimo oporu materii. Pokonywanie tego oporu to była właśnie dla Giedroycia polityka, której poświęcił się już w czasach przedwojennych. **Polityka rozumiana jako działanie w interesie państwa**

— **mocnego, umiającego ułożyć sobie stosunki z sąsiadami, bo szanującego prawa mniejszości narodowych.** Idea takiego państwa przyświecała Giedroycowi także po wojnie, państwa nieistniejącego, ale możliwego w przyszłości. Dla tej przyszłości warto było podjąć się kształtowania państwowotwórczej świadomości Polaków. Taki był — i pozostaje nadal — cel „Kultury”.

„... *Pod koniec pobytu w Rzymie — wspomina Giedroyc — naszą najważniejszą sprawą stała się «Kultura», która w związku z tym zmieniła formułę: z kwartalnika stała się miesięcznikiem, a z pisma literackiego — pismem wszechstronnym, przeznaczającym wiele miejsca na politykę i sprawy społeczne».*

Kultura według Giedroycia to również kulturalne uprawianie polityki, czyli inaczej mówiąc kultura polityczna. Dlatego ma wiele rozumienia i szacunku dla osób o innych przekonaniach i poglądach, jeśli tylko umięją one używać argumentów logicznych, i dlatego tak go irytuje w politycznych działaniach chaos, bezmyślność i brak kultury, ograniczające w rezultacie ich skuteczność. Nie tolerował więc nigdy „zacieklej postawy antypeerelewskiej”, wiązał nadzieje z politycznymi przełomami w Polsce komunistycznej, żywił uznanie dla partyjnych rewizjonistów i zawiódł się na działaczkach „Solidarności”, którzy nie potrafili wykorzystać szansy, jaką dawał fakt, że był to ruch społeczny o znaczeniu światowym.

Tolerancja, szacunek dla inności są również widoczne w stosunku Giedroycia do literatury. Zarówno na łamach pisma jak i w Bibliotece „Kultury” ukazywały się dzieła, które nie zawsze odpowiadały gustom samego Giedroycia. Gusta ma zresztą Giedroyc raczej tradycyjne, ukształtowane na literaturze Młodej Polski. Lubi bardzo Żeromskiego jako autora *Róży*, *Urody życia*, *Dumy o hetmanie*, *Nawracanie Judasza*, lubi prozę Micińskiego, ceni Berenta, choć z perspektywy czasu przeszkadza mu zbyt młodopolski język. Najbardziej odpowiada mu forma dziennika.

„*Wiem, że moja predykcja dla dziennika jako formy — wyjaśnia — bierze się z tego, że jest on otwarty na treści publicystyczne. Ale bierze się i z tego, że dziennik na nich nie poprzestaje, lecz włącza je w bardziej różnorodną całość, co pozwala uniknąć nudy i uzyskać większą liczbę czytelników».*

Olbrzymią zasługą Giedroycia-redaktora jest opublikowanie dzieł Gombrowicza. Nie wiadomo, jak by rozwinięła się literacka kariera autora *Ferdy-*

durke, gdyby nie znalazł swego wydawcy w Maisons-Laffitte. Giedroyc bardzo pomógł Gombrowiczowi, pomógł też Miłoszowi w najtrudniejszym dla niego okresie, kiedy nie akceptowało go środowisko londyńskiej emigracji. Nie bez wpływu Giedroycia powstały dwa wielkie dzieła współczesnej literatury polskiej: *Dziennik Gombrowicza*, publikowany w „Kulturze” i wydany osobno przez Instytut Literacki, a dopiero znacznie później w kraju, zresztą z ingerencjami cenzury (które zostały usunięte w następnych wydaniach), oraz *Dziennik pisany nocą* Herlinga-Grudzińskiego, który w pewnym sensie wypełnił w „Kulturze” pustkę po *Dzienniku Gombrowicza*. Już sam ten fakt wystarczy, aby Jerzy Giedroyc przeszedł do historii literatury polskiej jako jeden z najwybitniejszych, obdarzonych niebывалą intuicją, wydawców. A przecież wydał również wielu innych autorów, nie tylko polskich, niektórych z nich kreując na pisarzy, np. Andrzeja Bobkowskiego czy Marka Hłaskę.

Giedroyc nie lubił mówić na swój temat, zajęty zwykle innymi — ludźmi i sprawami. Co prawda o Giedroycu pisano sporo, ale On sam o Sobie zaczął opowiadać dopiero w *Autobiografii na cztery ręce*, którą powstała z inicjatywy ks. Zenona Modzelewskiego, superiora paryskiego domu księży Pallottynów i dyrektora wydawnictwa Editions du Dialogue. Forma tej wypowiedzi zblizona jest do *Mojego wieku* Wata, nie jest to jednak tylko spisany przez Krzysztofa Pomiana monolog, lecz autoryzowane opracowanie wspomnień Giedroycia. Pomian oparł się na nagranych rozmowach oraz na niezwykle bogatej korespondencji Giedroycia z Juliuszem Mieroszewskim.

Charakterystyczne dla Redaktora było to, że mało pisał na łamach „Kultury”, jeszcze mniej podpisywał własnym nazwiskiem, ale jest zarazem autorem tonu listów do swych licznych współpracowników, których krąg znacznie się w ciągu lat poszerzył (Giedroyc wspomina o trzech zmianach, trzech pokoleniach autorów „Kultury”). Listy te mają nieprzemijającą wartość dokumentalną. Pisanie listów — to też jedna z form wyrażania szacunku dla innych. Niestety, coraz bardziej zanikająca we współczesnym świecie.

Giedroyc nie ma złudzeń co do przyszłości — zdaje sobie sprawę, że Jego śmierć będzie oznaczała zakończenie rozdziału w dziejach polskiej myśli politycznej pt. „Kultura”. Miejmy nadzieję, że zakończenie tego rozdziału nastąpi jak najpóźniej.

Bogdan Rogatko

Rafał Solewski

Wdniach od 1 czerwca do 2 lipca 1995 roku prezentowana była w Krakowie retrospektywna wystawa malarstwa Miłosza Benedyktowicza. Ekspozycja, przygotowana przez warszawską Akademię Sztuk Pięknych oraz Galerię i Muzeum tej uczelni, pojawiła się w nowej siedzibie krakowskiego Muzeum Historii Fotografii.

Idea wprowadzenia malarskich prac do tych właśnie pomieszczeń budzić mogła niestosowne podejrzenia. Oto drugorzędna, warszawska wystawa trafiła do przypadkowych, wolnych właśnie sal potrzebujących promocji muzeum w Krakowie. Jednak nawet powierzchniowe poznanie ekspozycji dowodziło niesłuszności takich domniemań. Wierne oddanie naśladowanej rzeczywistości i drobniawego wręcz dokładność w odtwarzaniu szczegółów miejskiego krajobrazu, czy rysów twarzy, to cechy twórczości Benedyktowicza, które nakazywały już przy pierwszym kontakcie z dziełem postawić pytanie: czy artysta posługiwał się w pracy aparatem fotograficznym? Odpowiedni układ wystawy pozwalał na stopniowe utwierdzenie się w przekonaniu, że tak było w istocie. Jeśli nawet w prezentowanych w pierwszej części ekspozycji obrazach z wczesnego okresu twórczości, na przykład w *Tramwaju*. *Dzień dobry pierwsza zmiana*, czy *Pasjansie* pojawiały się elementy deformacji rzeczywistości, to jednak większość, zwłaszcza późniejszych prac, sprawiała wrażenie lustrzanych — a może właśnie fotograficznych — odbić obserwowanego świata. Część ekspozycji poświęcona warsztatowi twórcy dawała jednoznaczne rozstrzygnięcie kwestii. Najpierw niedokończony *Boisko* ukazywał, jak artysta pieczołowicie, fragment po fragmencie przenośił na płótno utrwalały na kliszę obraz. Przede wszystkim jednak zgromadzone razem zdjęcia tego samego wycinka rzeczywistości, szkice obiektywem i wykonywane na ich podstawie studia, wreszcie fotomontaże wskazywały niezbicie, jak bliska i ważna była dla Benedyktowicza sztuka fotografowania. Zatem ideę zaprezentowania monograficznej wystawy prac tego wieloletniego artysty w Muzeum Historii Fotografii uznać należało za merytorycznie uzasadnioną i ciekawą.

Słuszności takiej oceny dowodził także fakt, że właśnie w momencie zadecydowania o wykorzystaniu innego medium w swym twórczym warsztacie, artysta podjął kluczową dla swej sztuki kwestię możliwości percepcyjnych człowieka. Mianowicie oglądana przez twórcę i odtwarzana później w artystycznej pracy rzeczywistość, uległa wielokrotnemu zapośredniczeniu. Jego kolejne stopnie to: zmysł obserwatora, praca jego umysłu, przetwarzane fotografie przenoszone na płótno, wreszcie aktywne komuniacyjne widza oglądającego obraz. Każdy z elementów tego cyklu pozwalał na odkrycie coraz to nowych cech ukazywanej — pozornie wciąż tej samej — rzeczywistości. Umiejętne wykorzystanie ogniw twórczego procesu dawało w efekcie koncentrację uwagi widza na wieloaspektowości i zmienności codziennych spostrzeżeń, a przede wszystkim na zdeterminowaniu każdej odbiorczy bolesnym ograniczeniem, które tworzą wymiary naszego świata: przestrzeni i czasu. Z drugiej strony to obserwowanie życia z wielu perspektyw i cierpliwe studiowanie niedostrzegalnych w biernym, momentalnym postrzeganiu zjawisk, owocowało stworzeniem — na gruncie naśladowania — autonomicznej rzeczywistości dzieła sztuki. Bowiem właśnie artystycznie zorganizowany przekaz wymusza przecież zarzucenie owej bierności i zawiesza w momencie kontaktu z dziełem władzę czasu i miejsca. Charakterystyczny dla twórczości Benedyktowicza był paradoks, że jeśli w trakcie obcowania z jego sztuką następowała taka chwila, to widz natychmiast zdawał sobie sprawę z jej ulotności, a zarazem ze słabości własnych zmysłów. Bo przecież na co dzień spoglądał i spoglądać będzie na *Kamienicę*, *Sklep Kelly'ego*, czy *Wall Street* tymi samymi „niedowidzącymi” oczyma. Cały procesualny wysiłek artysty podkreślał zatem niedostatek możliwości poznawczych zmysłów, a może nawet ontologiczną względność świata.

Dzieła Benedyktowicza, które poddawały się takiej interpretacji, łatwo ulegały zasztafelowaniu jako nowy realizm. Lecz podkreślić tu należy, że nie wszystkie cechy stylistyczne prac artysty pozwalały na tak jednoznaczne zakwalifikowanie. Malarz zdawał się bowiem nie dowierać możliwości rozumienia przez widza owego żmudnego procesu zapośredniczenia, a zarazem odkrywania bogactwa odtwarzanej rzeczywistości. Dlatego starał się „powieścić więcej” również innymi sposobami. Czytelny tekstem operowały zgromadzone na wystawie w jednej sali wczesne dzieła. Wspomniane: *Tramwaj*, *Pasjans*, także *Tłum*, to obrazy będące swoistą diagnozą stanu polskiego społeczeństwa lat 70-tych. Artysta zamazywał w tych dziełach rysy postaci, tworząc nieczytelne, nie niosące żadnej treści maski, zebrane w zunifikowaną masę, na której tle mogły — niespodziewanie — pojawić się Twarz. Obrazy te stały się po latach komentarzem do losów Benedyktowicza. Twórcą w bardzo jednoznacznych wypowiedziach mal-

Zielone łązy w kosmicznej pustce

Urszula M. Benka

Córka nocy

Wydawnictwo OKIS, Wrocław 1995.

Jednym z bardziej popularnych typów człowieka, który występuje jako bohater w młodszej części polskiej poezji (tej np. drukowanej w „Brulionie”) jest typ człowieka „szamoczącego się”. Typ ten „szamocze się” z własnym losem, zadaje sobie pytania metafizyczne, ale wyróżnia go to przede wszystkim, że bardzo starannie pilnuje granic swojego świata. Niemał obsesyjnie strzeże swojej jednostkowości i prywatności.

Kompletnie nie mają nań wpływu na przykład problemy społeczne z ich podstawową dynamiką: człowiek lepszy - gorszy, wyższy - niższy. Jeśli pojawia się w tej poezji Miasto (np. w wierszach Marcina Świątlickiego) to najwyżej załśni na horyzoncie żółty, apokaliptycznym blaskiem — nie będzie społecznym kosmosem. Piekło i Raj „człowieka szamoczącego się” są najdokładniej prywatne, najczęściej wpisane w dialektykę relacji łączących dwoje ludzi...

Wspominam o tym typie bohatera, ponieważ na jego tle bardzo wyraźnie odcina się podmiot wierszy poetki, o której ostatnim tomie chcę napisać. O ile „człowiek szamoczący się” zamieszkał z własnego wyboru w mikrouniwersum prywatności, o tyle bohater tekstów Urszuli Benki żyje na wewnętrznej planecie wyobraźni, planecie, w której „odbija się kosmos”. W poezji tej sylwetka człowieka pokazana jest w ogromnym cieniu żywiołów: gwiazd, nieba, ziemi, wody, ognia. (*Kobieta jeszcze dyszy / w jej pociu odbija się kosmos*). Bardzo często pojawia się w tych wierszach jeszcze jeden żywioł: krew. Krew związana z jednostkową biologią, ale również z kosmogonią, stwarzaniem świata (*Świecą muszle całe we krwi*).

Urszula Benka wydała już 6 tomów poezji. Przedostatni tom zatytułowany jest: *Ta Mała Tabu* (Warszawa 1991). Można powiedzieć, że na drodze wskazanej przez ten tytuł — w ostatniej książ-

ce *Córce nocy* — poetka zrobiła krok naprzód. I gdyby sobie wyobrazić zielone półprzymknięte drzwi z napisem: „Tabu”, to pewnie jest, że Benka wpychałaby tam palce między framugi. Oto niektóre tematy *Córki nocy*: związek materii z duchowością, sprofanowanie materii a następnie jej sakralizacja, relacje między seksualnością a przeżyciem sacrum. To coś nowego w naszym klimacie jasnoblękitnej duchowości, jaką impregnowani jesteśmy od dzieciństwa.

*bzyczą osy w mazi materii
Mrugają tęczołowicie usta
Opuchlizna też drga — jakby unosząc płód
duchowości*

*ziemia tutaj wdęta i święta
i dlatego z niej wykwitła katedra*

Opisy takie wychodzą spod pióra poetki i budują jej prywatną mitologię, która karmi się również — jak wskazał Jacek Łukasiewicz — lekturą Leśmiana, Frazera i psychoanalizy. *Córka nocy* jest pierwszym tomem, w którym tak wyraźnie rysował się kształt tej „kosmogonicznej” mitologii. Kosmos jest partnerem do dyskusji w wierszach Urszuli Benki. a przy jej darze obrazowania, przetwarzania obrazów natury i umiejętności budowania metafory, która uchwyciłaby organiczność zjawisk, czujemy czytając te teksty, że w jakimś panteistycznym sposób jesteśmy bliżej naturze.

Wspólna wszystkim książkom poetki jest bujna, szeroka, wielkoduszna fraza poetycka. Nieraz nawet przesadnie retoryczna (*mam zatem ten ideał ascezy*). Najciekawsze wiersze pisze jednak Urszula Benka, gdy tę frazę poddaje wyraźnemu rygorowi rytmu. W *Córce nocy* znajdziemy szereg utworów, które są zbudowane z regularnie zrymowanych dystychów. Rytm wyzwała dowcip i pozwalała na bardziej intensywne, bo osobiste przeżywanie rozmowy z kosmosem. Najlepszym wierszem zbioru jest według mnie *Fiolet*, który zaczyna się tak:

*Ciało chciało się zbliżyć do duszy
fioletowe kielichy jej poruszyć
Swoim To płatkę głaska i bada
a dusza ciało chwyta jak owada*

W podobnej, oszczędnej rytmicznie tonacji utrzymana jest *świecna*, leśmianowska z ducha, ballada: *Matka i córka*.

Mimo jednak tej rytmicznej pogody części tekstów, ogólny wydźwięk książki jest dość dramatyczny. Ale jeśli kosmos jest partnerem do rozmowy, to dramat przeżywa się też w tym wymiarze... Książka kończy się utworem: *Bestia i dusza* opowiadającym o przerażeniu własną duszą.

Barbara Sola

Książki nadesłane

Jerzy Hordyński Seans, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1995.

Zbiór najnowszych wierszy jednego z naszych Nestorów, poety krakowsko-rzymskiego. To prawdziwie piękna poetycka kameralistka, powściągliwie dowcipna, niekiedy melancholijna, doskonałe wyważona w rezultatach działań niewidocznych „chwytów” warsztatowych. Te dobrze zharmonizowane wiersze Staroego Mistra można śmiało porównać z późnymi lirykami Iwaszkiewicza czy Miłosza. I tu pojawia się ten sam motyw akwacyjny — rzeki czasu, symbolicznej rzeki Heraklita, Lety — oddzielającej żywych od umarłych, pamięć od niepamięci.

Kazimierz Brandys Zapamiętane, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1995.

Nowy tom znakomitej memuarystyki autora *Miesiący*. „Daję tym notatom tytuł *Zapamiętane*. Mogą się wydać dalszym ciągiem *Miesiący*. Będą pewnie czymś innym (...). Notuję (...) o czym myślę, co wspominałem, czytam. I to, że z kimś się zgadzam bądź polemizuję, albo że kogoś podziwiam. *Zapamiętane* jest książką złożoną z dygresji, tomem o luźnej konstrukcji, znacznie mniej powieściowej niż *Miesiące*”.

Tadeusz Pankiewicz Apteka w getcie krakowskim, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1995.

Trzecie, poszerzone wydanie ciałe poszukiwanej pracy pamiętnikarskiej właściciela krakowskiej apteki „Pod Orłem”, która w czasie wojny — jako jedyna z istniejących w Podgórzu — znalazła się w obrębie getta krakowskiego (przy placu Zgody 18, obecnie Plac Bohaterów Getta). Wspomnienia świadka czasów holokaustu, bohatera i społecznika.

Adonis Rycerz dziwnych słów, Świat Literacki, Warszawa 1994.

Zbiór wierszy syryjskiego poety w wyborze, przekładzie i opracowaniu Krystyny Skarżyńskiej-Bocheńskiej.

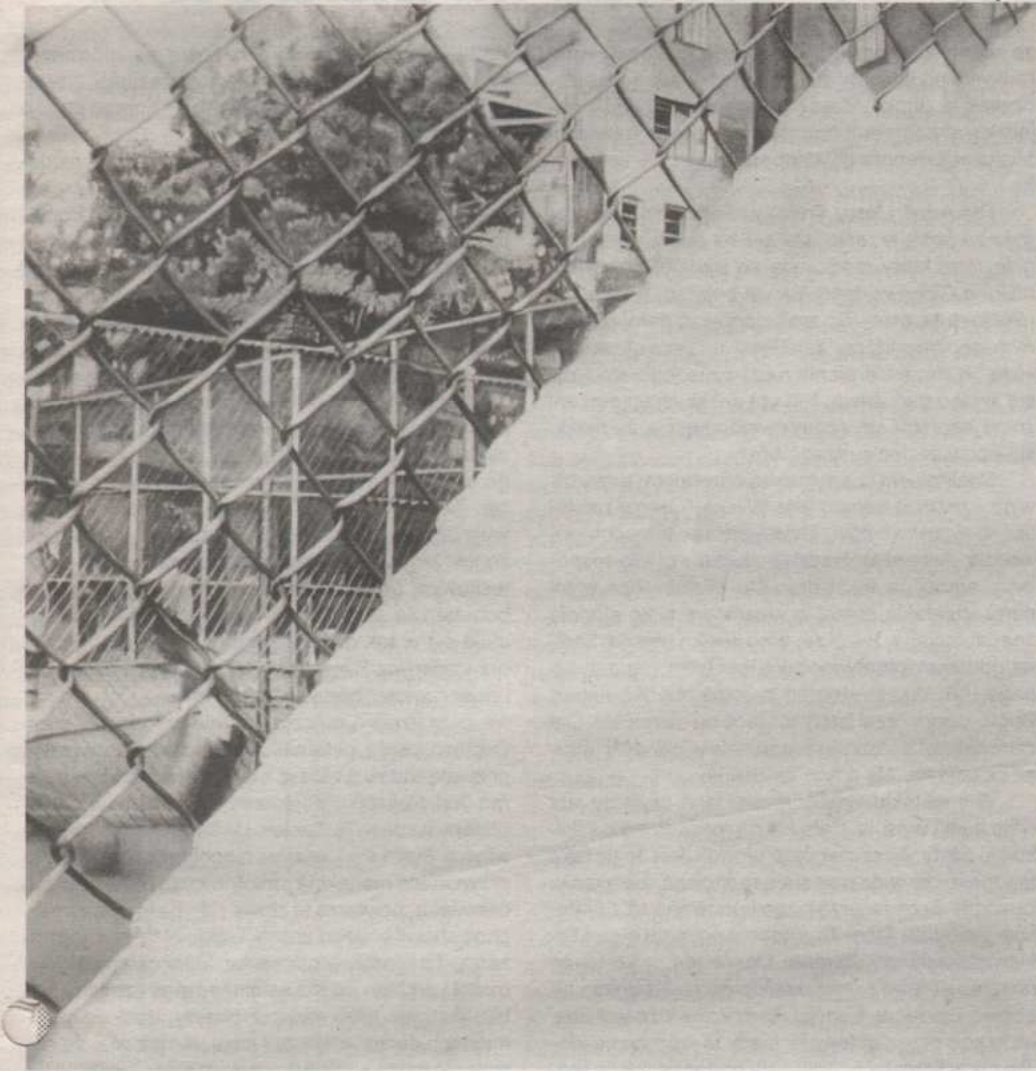
„Poezja Adonisa (to pseudonim Ali Ahmada Said Isbira) nie jest łatwa w odbiorze. Osadzona na niezmiennym szkieletce wartości i konsekwentnie przestrzeganej symbolice pojęć i rzeczy, operuje zmiennymi niepokojącymi i bogatymi obrazami, ujawniającymi jego nieograniczoną wyobraźnię poetycką”.

William Golding Piramida, Wydawnictwo ATEXT, Gdańsk 1995.

Piramida to subtelna, pełna urody opowieść o dojrzewaniu, pierwszej miłości i młodzieńczej inicjacji, buncie i cierpieniu, nadziei i gorzkiej wiedzy, która towarzyszy rozpoznawaniu siebie i świata i przekraczaniu progu dojrzałości.

Odkrywca niedostrzeganej rzeczywistości

Michał Paweł Markowski Saudek: ciało i czas



Miłosz Benedyktowicz, *Boisko*, 1984-85 (niedokończony), olej na płótnie, 81x 87 cm, wł. Leszek Opiola, Nowy Jork (repr. wg katalogu Miłosz Benedyktowicz 1945-1992 – Galeria i Muzeum ASP w Warszawie)

skich przedstawił swój sposób percepcji rzeczywistości tamtych lat. Sposób odpychająco wręcz prosty i oczywisty, ale przecież jedyny, jaki temu artyście tamten najczęściej nijaki świat mógł — niezależnie od przyjętej perspektywy — zaferować. Same obrazy Benedyktowicza zawierały zatem odpowiedź na pytanie o przyczyny wyjazdu ich autora z kraju. Rysy postaci w tle malowanych już w Stanach Zjednoczonych miejskich pejzaży były nieostre, ale już nie celowo zamazane. Co więcej, na pierwszy plan twórczości emigracyjnej wysunęły się studia portretowe. Powodowany wiarą, że twarz człowieka wyraża jego wewnętrzną prawdę, malarz z widocznym upodobaniem, ale też z troskliwą delikatnością starał się zdekonspirować duszę portretowanego. Bardzo indywidualnie traktowane, często wpatrzone w nas postaci, ujawniały wewnętrzną napiętość, które emanowało z płótna. Wizerunki Elżbiety Czyżewskiej czy Charlesa Lemaitre z powodzeniem mogłyby ilustrować tezy Emanuela Levinasa o „epifanii twarzy”.

Ale ten subtelny sposób wyrażania niezależnej od komunikacyjnych konwencji, niedostrzegalnej na co dzień prawdy, dostępny jedynie dla osób o szczególnej wrażliwości, charakteryzował w istocie całą twórczość Benedyktowicza. Otóż wyróżniająca, niepowtarzalna cecha prac tego artysty był niezwykły nastrój panujący w rekonstruowanym na płótnie świecie. Miejski krajobraz *Kamienicy*, czy *Soho in blue*, to monotonia, którą pokonać mogła jednak ucieczka w ukrytą za węglem budynku przestrzeń, albo też przejście w odbity w kaluży, odwrócony *Do góry nogami świat*. Natomiast zamkniętemu w klatce windy więźniowi codzienności pozostawała tylko projekcja jego tęsknot i marzeń — jedyne okno na inną rzeczywistość. Pustynne pejzaże *Słonecznika* lub *Pożegnania* to z kolei obraz pogodnej zgody na samotność. Lecz wyobcowany w *Tłumie* człowiek poszukiwał też radosnej przyjaźni *Wiosną*, albo — jak *Mike & Puch* — spotkania z drugim. Tak więc atmosfera alienacji i pustki maskowanej sztafżem miejskiej architektury, także — często akceptowanej — samotności, zderzona bywała z malarskimi próbami przezwyciężenia tej sytuacji. Dzieła wymuszały smutne konstatacje, ale też dążyły do nawiązania kontaktu, powiedzenia „czegoś więcej”. Lecz to właśnie sam specyficzny nastrój obrazów mówił tak dużo o ich autorze — spokojnym i uśmiechniętym wielbiciele wolności spoglądającym z *Autoportretu*.

Powtórnie należy podkreślić tu szczęśliwy wybór miejsca krakowskiej ekspozycji. Muzeum Historii Fotografii pozostawało niejako poza artystycznym „światkiem” Krakowa. Sytuowało się z dala od stworzonego w pseudomagicznym kręgu Rynku świateł kawiarni i galerii. I właśnie w tej atmosferze „odsuniętego” przybytku sztuki obrazy Benedyktowicza w pełni stawały się zaprojektowaną przez artystę opowieścią o spokojnej, bezkresnej samotności.

To właśnie wrażenie potwierdzało, że proste wiązanie prac malarza z nowym realizmem nie jest w pełni uzasadnione. To raczej Giorgio de Chirico, a zwłaszcza Edvarda Hoppera uznać należało za patronów artysty. Co więcej, dalej jeszcze od twórczości nowych realistów odbiegała twórczość Benedyktowicza w filmie, ilustrowana w czasie trwania wystawy nie tylko scenograficznymi szkicami, ale również przeglądem dzieł Zbigniewa Rybczyńskiego. Podejmując w końcowym okresie swej twórczości decyzję o całkowitym poświęceniu się współpracy z reżyserem, artysta malarz oddał siły swej plastycznej wyobraźni na usługi dążącego w stronę stworzenia wirtualnej rzeczywistości twórcy. Jednak nie tylko godna futurystów fascynacja techniką oddaliła Benedyktowicza od realizmu. Oto bowiem plastyk i reżyser rozpoczęli wspólnie eksploatację „tekstu” kultury. Współcześni Amerykanie wchodzą na *Schody* i uczestniczą w scenach z *Pancernika Potiomkina*. Jedyne elementy moralizatorskiej krytyki zdegradowanej amerykańskiej wrażliwości zakłócały tu czystość stylistyczną postmodernistycznego dzieła. *Kafka* to również wykorzystanie motywów należących na stałe do intertekstualnej „pamięci” kultury. W filmie tym Benedyktowicz znakomicie wykorzystał swój talent twórcy nastroju i kolorysty. Choć zawsze pozostanie pytanie, czy oglądany na ekranie obraz poruszyć może w takim stopniu, jak genialna wręcz malarsko, portretowa grupa *Kimus* i *Aluśka*, której jakkolwiek interpretacja werbalna byłaby zwykłym bluźnierstwem.

Konieczność wyeksponowania dzieł stworzonych dla potrzeb obiektywu kamery to definitywny chyba argument, który przemawiał za trafnością wyboru miejsca wystawy. Twórczość Benedyktowicza warto było poznać choćby ze względu na możliwość skonfrontowania się ze słabo reprezentowanymi w Krakowie artystycznymi kierunkami. Ewolucja od nowego realizmu do postmodernizmu, oraz przejście do filmu zmierzającego ku wirtualnej rzeczywistości ukazały, jak artysta naśladowując wybrane elementy rzeczywistości, kreował ostatecznie swój autonomiczny świat, nie zapominając jednocześnie o podtrzymaniu kontaktu z widzem i pobudzeniu jego percepcyjnych możliwości.

Jednak najlepszym uzasadnieniem przypomnienia dorobku Benedyktowicza była jakość efektów jego artystycznej działalności. Jej siła estetycznego, oddziaływania oraz niewątpliwy walor poznawczy gwarantowały satysfakcję każdego wrażliwego widza. Dlatego dobrze się stało, że warszawska wystawa prac twórcy wysublimowanego nastroju i odkrywcy niedostrzeganej rzeczywistości trafiła do Krakowa.

* Twórca zmarł na emigracji w USA, w 1992 r.

Miłosz Benedyktowicz 1945-1992, Muzeum Historii Fotografii w Krakowie, ul. Józefitów 16, 1 czerwca - 2 lipca 1995 roku. Wystawie towarzyszył przegląd filmów Zbigniewa Rybczyńskiego.

1 Czy wynalazek panów Niepce'a i Daguerre'a, jak się jeszcze w trzeciej dekadzie XIX wieku sądziło, zniszczył doszczętnie malarstwo (tak jak pismo, wedle Platońskiej nauki przedstawionej w *Fajdosie*, zniszczyć miało żywą pamięć)? Czy rzeczywiście jak pisał Walter Benjamin, po wynalezieniu i rozpowszechnieniu fotografii „malarze zostali wysadzeni z siodła przez techników”? Oczywiście, że nie. Odkąd pojawiła się fotografia, malarze nie tylko jej nie przekleli, lecz wręcz przeciwnie — pracowicie starali się wykorzystać jej możliwości (co prawda, starannie zacierając za sobą ślady). Od Delacroix (w którego tekach odnaleziono fotografie, na podstawie których malował portrety) przez impresjonistów i postimpresjonistów (Manet tworzy obrazy na podstawie odbitek swego przyjaciela Nadara, Degas maluje swoje baletnice spoglądając na drobniogłowe studia fotograficzne), do Duchampa (którego *Akt schodzący po schodach* nie powstałby bez wpływu fotograficznych zapisów ruchu) malarskie rozwiązanie zagadki widzialności nie tylko nie straciło dzięki fotografii na atrakcyjności, lecz nawet zyskało dzięki niej intensywniejszą barwę. I odwrotnie: fotografia, choć zawsze odchodziła od malarstwa ku prawdzie „nagich faktów”, to jednak także zbliżała się do niego, odczuwając bliskość w misji, jak nazwała to Susan Sontag, „deplatonizacji” świata. W obu bowiem wypadkach obraz zastępuje rzeczywistość, kopia detronizuje oryginał a pozór przesłania istotę rzeczy. Malarska i fotograficzna deplatonizacja świata oznacza akt ocalenia jego powierzchni. Z drugiej jednak strony oznacza także pojawienie się tęsknoty za jego głębią. Cézanne, którego przecież fascynowała fotografia, przez całe swe życie wiedział dobrze, że zewnętrzna powłoka rzeczy jest tylko wtórnym i przypadkowym wyrazem ukrytej esencji, że tylko niszcząc „formę-spektakl” i zstępując pod jej naskórek można dotknąć Bytu. Kafka, któremu podekscytowany Janouch przyniósł serię zdjęć z fotoautomatu, przekonując, że fotografia jest najlepszym sposobem do poznania rzeczywistości (a więc i samego siebie), odpowiedział: „Fotografia przykuwa wzrok do tego, co powierzchowne. Dzięki temu otula mgłą to, co zwykle stanowi ukrytą istotę człowieka, a tylko ona, jak tchnienie światła i cienia, prześwietla przez kontury rzeczy”. Pochwała powierzchni i pragnienie głębi to dwie strony tego samego odkrycia: rozsunienia między modelem i kopią. To także dwa odmienne zadania malarstwa i — przede wszystkim — fotografii. Z jednej strony kolekcjonowanie „pozornych” to znaczy „nieprawdziwych” fragmentów świata, będących tylko przejawem piękna lub prawdy, z drugiej zaś zstępowania ku istocie rzeczy skrytej za zmiennym pozorem. Z reguły nie są to zadania

bliskie sobie: albo zadowolamy się notowaniem przejawów, albo kierujemy uwagę poza nie, ku temu, co je określa i nadaje im sens.

Istnieją jednak dzieła, starające się przekroczyć ograniczenia tej dwudzielności, zdjęcia ignorujące dychotomię zjawiska i istoty, zdjęcia zanurzone w pozorze i jednocześnie wyczuwające podskórny przebieg sensu. Do nich z pewnością należą fotografie Jana Saudka.

2 Kobięce ciało jest bez wątpienia najpiękniejszym znakiem pozoru. U Saudka jednak nie ma kobiet „pięknych”, jedyna zaś „piękna” kobieta naśladuje u niego tors antycznej rzeźby. U Saudka piękno traci swe panowanie nad brzydotą, a cała ta opozycja traci sens, rozproszona na skórze potarganego czasem ciała. We wstępie do albumu Michel Tournier pisze: „Kobięce ciała z ogromnymi, monstrualnymi pośladekami przypominają obcesję Felliniego”. Pewnie tak, choć należałoby się głębiej zastanowić nad podobieństwem obu twórców. Dlaczego Saudek i Fellini? Sądzę, że z trzech zasadniczych powodów: po pierwsze dlatego, że dla obu kobieta jest wysłanniczką „Natury” (i stąd jej monstrualna i poddana wpływowi czasu cielesność przypomina o owej „Natury” podwójnym obliczu: jednocześnie życiodajnym i przerażającym, godnym pożądania i napelniającym lękiem, mitycznym i spospolitowanym), po drugie dlatego, że dla obu — podobnie jak dla Nietzschego — kobieta jest tajemnicą, która zapraszając do swego wnętrza (przenośnie i dosłownie) broni się jednocześnie przed ową tajemnicą wyjawieniem. I wreszcie po trzecie dlatego, że, jak powiedział kiedyś Fellini w wywiadzie, kobieta jest „serią projekcji wymyślonych przez mężczyznę”, która na płaszczyźnie historii „staje się naszym sennym odbiciem”. Zdjęcia Saudka czytam właśnie jako taką serię projekcji, *wytwór męskiego snu*: przewijają się w niej wszystkie kobiece postaci: Kobieta Niewinna (z lalką lub w wianku), Kobieta Oddana (w stroju ślubnym), Kobieta Poddana (całująca rękę mężczyzny), Kobieta Sprostytuowana, Kobieta-Dziecko (bawiąca się błyskotkami), Kobieta ze Sztyletem (wymierzonym w mężczyznę), Kobieta-Matka (brzemienna), Kobieta-Kusicielka (zadzierająca spódnicę), Kobieta-Marzycielka (wskazująca na gwiazdkę z nieba). W świecie Saudka kobieta, wysłanniczka pozoru przekształca się w figurę niespełnienia. Nie tylko dlatego, że jest wytworem pragnienia, będącego jedynie efektem inscenizacji. Przede wszystkim dlatego, że przynosi zawsze ze sobą smutek powiązany z tęsknotą. Lalka szmaciana jako rekwizyt marzeń dziecińczych, które nie zostaną spełnione, okno, za którym nie otwiera się niebo i za którym widać tylko ledwo dostrzegalne nogi prze-

DOKOŃCZENIE NA STR 14



Jan Saudek, Fotografia (Repr. wg albumu *Jan Saudek, Życie, Miłość, Śmierć i inne Blahostki*, Copyright © 1994 Art Unlimited)

Małgorzata Ruda **Improwizacja na temat „Dziadów”?**

Dziady, które w Starym Teatrze wyreżyserował Jerzy Grzegorzewski, noszą tytuł *Dziady — dwanaście improwizacji. Sceny z poematu dramatycznego Adama Mickiewicza*. Reżyserując na tej scenie *Dziady* musiał Grzegorzewski, chcąc nie chcąc, zmierzyć się z legendarnym przedstawieniem Konrada Swinarskiego. Ten pojedynek krytyka nazwała krótko i nazbyt chyba wężłowo „dziadostwem”, „dziadziem” (rozumieć, że teatru) i mnożyła kalambury na temat tego, że reżyser puścił profesjonalnego baka. Co tak rozwścieczyło krytykę? Słowo „improwizacja” w tytule nie odwołuje się do romantycznej tradycji. Zapowiada tylko, że *Dziady* staną się inspiracją do widowiska rządzącego się własnymi prawami, związane z Mickiewiczowskim dziełem dość luźno. Rzeczywiście, Grzegorzewski stworzył własne trzy części dramatu, konstruując je dramaturgicznie od nowa w całości. Nie jest to czyn naganny. Problem tkwi raczej w tym, że trudno dociec, ku jakim sensom zmierza dramata i spektakl Grzegorzewskiego. Myślę, że tu tkwi przyczyna ataku prasy na twórców przedstawienia. Tonu tego ataku nie usprawiedliwiają jednak największe błędy popełnione przez reżysera i aktorów. Nie każdy może być Stonimskim, a wszystko wskazuje na to, że prasa codzienna ułatwia sobie zadanie, bawiąc czytelnika bon motami stylizowanymi na wypowiedzi mistrza. Panowie krytycy i panie krytyczki zdają się zapominać, że prasa dwudziestolecia międzywojennego była bardziej zróżnicowana, że oprócz kalamburów Stonimskiego w dwutygodnikach literackich, a i w prasie codziennej drukowali solidne studia mistrzowskie pióra tej miary, co na przykład Karol Irzykowski. Dzisiaj szóstostanem dla żartu przedstawieniu nikt nie odda sprawiedliwości, a krytyk za pomocą kalamburu buduje sobie pomnik Katona i nieprzekupnego Zoila.

Prawdą jest wszakże, że przedstawienie Grzegorzewskiego irytuje i męczy, że reżyser nie liczy się z wyobrażeniami widza o Mickiewiczowskim arcydziele. Alislić liczyć się musi, wszak zapowiedział, że będzie improwizował. Widza krępuje pamięć historyczno-literacka, czuje się zobowiązany do rozwiązywania krzyżówek, zamiast słuchać przedstawienia, dramatycznie próbuje zlokalizować miejsce cytatów, ustalić zależności między sensem nadanym tekstem przez samego poetę, a tym „skonstruowanym” przez reżysera. Szkolna wiedza filologiczna widać jest tu gwałcona. Grzegorzewski żąda od widza natychmiastowego odrzucenia całego bagażu wyobrażeń o *Dziadach* i poddania się jego dziełu autorskiemu. Taka rezygnacja możliwa jest jednak tylko w jednym przypadku: gdy dzieło stworzone na gruzach arcydzieła z przeszłości zajmuje jego miejsce, staje się arcydziełem; gdy zaskakuje nieznana aura emocjonalna, stawia nowe pytania.

Na podstawie zaś scenariusza Grzegorzewskiego powstało widowisko teatralne zimne, niejasne i drętwe. Żaden nieomal obraz nie pozwala widzowi w sposób pewny określić znaczeń, bo pra-

wie wszystkie są arbitralne i symboliczne. Guślarz gra w „nitki”, Konrad w „łapki”, dwór Senatora lubi w tańcu taktować, ale lubi też ową zabawę w „łapki”. Myślę, że gdyby obrzęd miał rytm dziecięcej wylczanki, a bał wpisywał się w grę w klasy, nie byłoby to zabawę. Można by jeszcze rozegrać go na tafli lodu albo na szachownicy, możliwości współczesnego inscenizatora nie są przecież niczym ograniczone, nawet zdrowym rozsądkiem, nawet dobrym smakiem. U Grzegorzewskiego pani Rollison ma Wideniec księdza Piotra, ale przecież mogłaby przeniknąć duszę Senatora, śnić o jego łotrzkich cierpieniach. Małgorzata Hajewska-Krzysztofik (pani Rollison) mogłaby też wypowiedzieć Małą lub Wielką Improwizację, gdyby je odpowiednio spreparowała. Wszak bolejąca matka nie musi grać tylko Niobe, może pokusić się o rolę Prometeusza. W teatrze, który improwizuje, wszystko jest możliwe, wszystko da się uzasadnić. Czyż Rollisonowej Bóg nie wydarł osobistego szczęścia? Czyż nie ma prawa go przeklinać i nazywać carem?

Grzegorzewski powołał chór pięciu matek-Polek i kazał im w pozach antycznych rzeźb cierpieć w salonie u Senatora. Zasugerował, że są sprostytuowane przez służusów Nowosilcowa. Myślę więc, że zasadne byłoby spięćokrotnie osoby księdza Piotra, jeden nie da sobie rady z takim nadmiarem grzechów, z takim morzem rozpacy. To zwielokrotnienie uzasadniony faktem, że po senatorskich i warszawskich salonach, po celach więźniów błąkają się nie zwykle Diabły, a Satyry, że Senator jest kabotynem strojącym się w wieńiec Cezara, a jego ruchy przypominają ruchy kopolucyjne dżdźownicy, gdyby ta miała do tego biologiczne prawo. Ów bieżmiar zła wymaga, aby egzorcyzmy odprowadził więcej niż jeden ksiądz. Ironizuję, bo te najczytelniejsze inscenizacyjne pomysły nie grzeszą delikatnością. Chór pięciu matek, pani Rollison w roli księdza Piotra, Senator — glista i zarazem Cezar, salonowe gry w „łapki” przy cierpiącej matce, prospekt świątyni reagującej na okrucieństwo i cierpienie pochylem się symbo- lizującym rozpacz, wreszcie Satyr-Szatan mówiący antypatriotyczne kwestie Literata — to ilustracje jednowymiarowe, upraszczające, a nie interpretujące Mickiewiczowską rzeczywistość. Jeśli do tego dodamy wspanięcie przez Satyrów wiezy z bębnowo do salonu, czyli militarnizowanie go, to dopełnimy rejestru tych najbardziej rażących dopowiedzeń. Właśnie dopowiedzenia najbardziej irytują w tym przedstawieniu; nie czynią go jasnym, ale spłaszczają wystarczająco, aby nie chciał o nim myśleć.

Z dwóch pierwszych odsłon „Improwizacji” bronią się trzy sceny. Oto Konrad powracający w kraj lat dziecińczych przez kratę-bramę, widzi „rajski” ogród. Rudowłosa kobieta bawiąc się z dziećmi, śpiewa im piosenkę o czulej dziewczynie, co najpierw wciąż wspomina, a potem tylko co rok. Olsniwiająca jasność sukien, skojarzona z jasnością dziecięcych głosików nuących refren, czyni

ze sceny wizję ogrodu utraconych rozkoszy. Konrad tylko przez kraty może zagrać z dziewczynką w „łapki”. Zaraz potem Konrad widzi pałac, a kobieta z ogrodu staje się archaniołem Michałem, depcze go, choć sprawuje nad nim opiekę.

Oto Adolf (Jerzy Trela) w długim szynelu ciągnie za sobą krzesło, siada i na pustej scenie, z gniewem, który zrodził się ze wstydu, opowiada historię Cichowskiego. Słowa boją go, prawie się nimi krztusi, próbując zrelacjonować nam, obojętnym gapiom, którzy zajęliśmy miejsce „towarzystwa”, historię cierpienia niezawinionego. Wstydził się swego gadulstwa. Nie ufa ani słuchaczom, ani sobie, szorstki, speszony świadomością, że nie da się opowiedzieć cudzego bólu.

Spektaklem w spektaklu, odrębnym, prawdziwym i przerażającym jest Wielka Improwizacja i scena egzorcyzmów. Dzieje się tak z dwóch powodów. Aktorstwo Radziwiłowicza ma siłę rozpalania emocji, a tekst dramatu Mickiewicza w tej partii spektaklu został w niewielkim tylko stopniu zaadaptowany. Broni się więc wielką poezją, zdolna oddać dylematy moralne nie tylko romantycznego „ja”. Wszak Konrad próbuje zbadać naturę Boga, który skazał istoty czujące na cierpienie. Dał człowiekowi poczucie i pragnienie wielkości i uczynił bezsilnym. Ale o tym za chwilę.

W spektaklu Grzegorzewskiego czytelnym jest tylko punkt wyjścia. Cała reszta rozpada się na epizody, gesty, poszczególne słowa. Jest tego taka mnogość, że widz przestaje reagować, zwłaszcza że sceny Grzegorzewskiego budowane są z ułamków dialogów, które zbyt dobrze pamięta się z Mickiewiczowskiego dramatu. Jasne jest tylko to, że dojrzały Konrad przychodzi do domu Księdza i na obrzęd Dziadów. Konrad Radziwiłowicza wchodzi na scenę przez widownię, kiedy ta jeszcze usadawia się w krzesłach. Zdejmuje się badacz widok za teatralnym oknem, widać, że „błądzi w dzień”, „już żytych nie słyszy”. Mówi tekst Starca z pierwszej części, odbywa dantejską podróż do krainy młodości, która nie była rajem. Dziewczyna rozpoznaje w nim trupa i upiora. Na środku gościńca życia Konrad śni i przeżywa epizody z wcześniejszej młodości. Otoczona dziećmi Matka (postać powstała z tekstu Księdza z IV części *Dziadów*) widzi w nim szkaradę. Konrad przy niej popełnia samobójstwo, skarży się, że zapominał rysów ukochanej. Potem dalej trwa obrzęd Dziadów, bo ukazuje się widmo „Złego Pana” (Krzysztof Globisz). Jeszcze wcześniej jak we śnie mieszący się wrażenia, płoną obrzęcze pełne świece, parobcy usiłują poruszyć monstrualnego baka, zabawkę dzieciinną przypominającą kopułę cerkwi.

Dramat Grzegorzewskiego opowiada, a raczej kapryśnie odtwarza biografie Konrada (w jakiej mierze także Mickiewicza) zbliżającego się do starości, mijającego swoją młodość i teraz z perspektywą inaczej widzącego jej doświadczenia. Stąd dwukrotne spotkanie z młodym Gustawem-Konradem na końcu drugiej i trzeciej części: po doświad-

zeniach salonu Senatora i w finale, po Improwizacji i Egzorcyzmach. Rozmowa przeszłości z teraźniejszością nie jest możliwa. Młody Konrad prosi o chwilę rozmowy, stary odmawia mu: „każdy w swoją drogę”. Zatem doświadczenia starości są niedostępne temu, kto życie rozpoczyna, nie umiemy się porozumieć nawet z własną młodością, a co dopiero z samym sobą. Jesteśmy skazani na samotność i klęskę. Wszędzie widać się diabelskie Satyry. W każdym salonie historii bawią się szubrawcy; polityka dostarcza podnieć seksualnych i jest rozpamiętanym chamstwem. Dlatego Adolf Treli właściwie nie chce opowiadać o Cichowskim. Zmusza się do tej opowieści, bo wie, że jest ona tylko doświadczeniem tamtego udręczonego człowieka, nieprzekazywalnym. Konrad płacze się po scenie narodowego dramatu, jest jego aktorem lub tylko przygląda się. Zawsze samotny, bez współwzięniów i współwynańców. Można odnieść wrażenie, że wszystkim jest jego zniekształconym przez ból i czas, groteskowym i strasznym wspomnieniem. Obecność bohatera na scenie, poza częścią ostatnią, manifestuje się w tak różny sposób, że wydaje się dość przypadkowa. Świat wyobrażony, świat koszmarny i znieprawiony, góruje nad bohaterem, który odgrywa drugorzędną najczęściej rolę we własnej wizji. Dopiero część ostatnia „Dwanaście improwizacji” pozwala widowni zbliżyć się do bohatera. Ten Konrad jest nieludzką zmęczony, zamknięty w sobie, oddany na pastwę diabłów i aniołów, którym nie do-wierza. Budzi się z letargu, niechętnie, przez chwilę przypomnia manekina, anioły mówią mu o potęgę człowieka, powtarza te słowa i chyba im nie wierzy, choć chciałby. Jego improwizacja nie jest improwizacją. To modlitwa człowieka, który dawno się nie modlił i próbuje po raz ostatni poznać i zbadać siebie. Poznaje tylko rozpacz bezsilny, dusi się w mionach ducha, charczy i rzezi, ale już wie, że wy-walczony może sobie tylko świadomość klęski. Więc modlitwa kończy się jakimś retorycznym popisem, w którym chodzi już tylko o znalezienie racjonalnych argumentów przeciwko Bogu. Ten Konrad, któremu nie udało się modlitwa, jest okrutny dla może nie istniejącego Boga i na pewno nie potrafi znieść takiego Boga, który stworzył zło tego świata. Nie jest pyszny i nie jest prometejski, próbuje być sobą. Nie choruje na „caryzm”, chorobą, która go zżera, jest bezsilność i rozpacz.

Dwanaście improwizacji Grzegorzewskiego to spektakl nieudany. Forma, jaką posłużył się reżyser, zabija sensy, a nie tworzy ekwiwalentu uczuciowego. Jednak nawet w nieudanym spektaklu bywają sceny tak piękne, jak ta w ogrodzie i tak zadziwiająca, jak Improwizacja Radziwiłowicza. Więc może zamiast kalamburów warto zaryzykować i snuć improwizacje na temat „Improwizacji”.

Stary Teatr. *Dziady — dwanaście improwizacji. Sceny z poematu dramatycznego Adama Mickiewicza*. Układ tekstu i reżyseria Jerzy Grzegorzewski. Scenografia Barbara Hanicka. Muzyka Stanisław Radwański. Premiera prasowa 25.06.1995.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 13

chodniów nad suszącą się bielizną lub lizającą ścianę, sztuczne kwiaty na tle pękającej ściany; wszystko to smutne znaki tęsknoty. Kobiety w świecie Saudka są samotne, skazane przez ustawiającego ich na scenie fotografa na odgrywanie spotkań, które pozostawiają ich dalsze życie bez znaczenia. Chwila szczęścia w obiektywie kamery to tylko pozór, prawdziwe życie wcale nie jest gdzie indziej: jego po prostu nie ma.

3 Gdybym potrafił opowiedzieć historię słowami, nie musiałbym dźwigać aparatu fotograficznego. To wyznaczenie jednego z pionierów fotoreportażu, Lewisa Hine’a, daje się odnieść do fotografii jako takiej: obraz zastępuje w niej słowo a przedstawialne konkuruje z niewypowiedzalnym. Co jednak zrobić z nieprzedstawialnym, z tym, co nie daje się uobecnąć w zdjęciu? Na tę trudność odpowiedź znalazł Man Ray: „Fotografuję to, czego nie mam zamiaru malować i maluję to, czego nie mogę sfotografować”. Z jednej więc strony fotografuję to, czego nie potrafię wysłowić, z drugiej zaś maluję to, czego nie potrafię sfotografować. U Saudka wszystko się zmienia: fotografia nie jest zamiast opowiadania, tak jak nie jest zamiast malarstwa. Saudka maluje i opowiada. Dlaczego maluje? Dlatego, że podobnie jak piktorialiści z przelotem wieków — traktuje zdjęcie jak obraz. Wystarczy porównać portrety Saudka i Roberta Demachy: to samo nieobecne spojrzenie kobiet, te same draperie, ten sam wianek na głowie, ta sama sepię, te same pewnie techniki przetwarzania kliszy... Jaka zaś różnica? Tylko czas, który upłynął. 1884-1984: taki napis można odczytać ze ściany, stanowiącej tło większości portretów Saudka. 1884-1984: taki napis widzicie też na jednym ze zdjęć. Ten stu-letni dystans nie obiecuje powrotu do minionej epoki,

lecz zapowiada nadejście stylizacji, która karmi się sobą samą. Saudka maluje, powtarzając gest malujących fotografików-portrecistów z końca ubiegłego wieku. Powtarzając jednak, doprowadza manierę na skraj sztuki. Walter Benjamin w *Krótkiej historii fotografii* pisał, że kiedy rozpowszechniła się technika retuszu negatywów, za pomocą której zły malarz brał odwet na fotografii, nastąpił gwałtowny upadek smaku”. Sztuczny, retuszowany świat Saudka, ostentacyjnie nadnaturalny, rozpostarty między kiczem i sztuką, zanurzony w „złym smaku”, ociera się o postmodernizm. Demachy korzystał z gumy arabskiej przy opracowywaniu negatywów, bo — uciekając się ku malarstwu — nie miał innego wyjścia. Saudka stylizuje modernistycznie swoje klisze nie dlatego, że nie ma innego wyjścia, lecz dlatego, że tak właśnie chce. Taka jest różnica między modernizmem i postmodernizmem, różnica między „muszę” i „chcę”. Różnica sma(cz)ku.

Dlaczego jednak Saudka opowiada? Dlatego, że głównym bohaterem jego fotografii, poza ciałem, będącym znakiem pozor (znoszącego opozycję piękna i brzydoty) jest Czas. Czasu, jak wiadomo, nie można przedstawić, nie uciekając się do nieudolnej sztuczki malarzkiej jaką jest alegoria. O czasie należy, o ile to tylko możliwe, opowiadać, albowiem czasu nie można zrozumieć nie opowiadając go, rozumienie zaś odbywa się tylko w czasie. Saudka więc opowiada: rozstrzuwa swoje narracje między ciałem i czasem, opowiada historię ciała, którego czas już minął. Nie są to wesołe historie i w świecie Saudka odkłada się smutek upływającego czasu, którego podskórny dreszcz wstrząsa ciałem kobiety.

4 Wiemy o tym dobrze — na każdej fotografii widnieją przestrogi: pamiętaj o śmierci. „Wła-

śnie dlatego, że wybieramy jakąś chwilę, pisze Sontag, wykramamy ją i zamrażamy, wszystkie zdjęcia stanowią świadectwo nieubłaganego przemijania”. Ale śmierć obecna jest także w fotografii w inny sposób. Wszyscy ci młodzi fotografowie, krążący po świecie i poświęcający się chwytaniu współczesności, pisał Barthes w *La chambre claire*, „nie wiedzą wcale, że są wysłannikami Śmierci”. Fotografia bowiem jest „obrazem, który wytwarza śmierć chcąc zachować życie”. Między świadomością przemijania i pragnieniem zachowania życia rozwija się dramat fotografii. Saudka ukazuje go niejako od wewnątrz, notuje ślady przemijania. Oto, otwierając album, seria 12 zdjęć, stanowiąca studium upływającego czasu: róża w szklance, której płatki w kolejnych ujęciach pokrywają leżące pod nią zdjęcie dziewczyny. Oto 6 zdjęć wazonu z kwiatami, który na ostatnim zdjęciu, już po utracie wszystkich listków przez kwiaty, zastąpiony zostaje własnym zdjęciem (to najkrótsza opowieść o postannictwie fotografii: o uobecnianiu nieobecnego). Oto wreszcie dwa zdjęcia, najbardziej chyba przejmujące: na pierwszym z nich długowłosa dziewczyna z lalką dyskrytnie obnaża piersi, na drugim starsza o kilka lat (wciąż jednak z lalką i z tym samym papierosem, w tym samym swetrze) obnaża też brzuch: różnicę między tymi dwoma zdjęciami wyznacza dość świeża blizna po cesarskim cięciu. Oto Saudka: upływający czas nie tylko niszczy, ale też obdarza życiem. W tej bliźnie kryje się fascynująca zagadka jego twórczości, którą obrazuje *droga okrężna*: przez pozór do istoty, przez sztuczność ku prawdziwości, przez kicz do dzieła sztuki, przez brzydotę do piękna, przez śmierć do życia, przez ciało do czasu. Inna droga nie jest możliwa. Czy jednak jest konieczna?

5 *Obnażenie* jest podstawowym chwytem Saudka. Nie polega ono jednak na prostym rozebraniu, na prostej ekspozycji nagiego ciała. Oto przykład: seria 6 zdjęć pt. *The Haircut of soldier. Simple story in 6 pictures*. Rzeczywiście jest to strzyżenie żołnierza (którym zajmuje się kobieta, sama przy okazji się obnażająca) i rzeczywiście jest to prosta historyjka. Jest to jednak także gra z oglądającym. Na ostatnim zdjęciu czytamy bowiem: „...i to wszystko. Czego się spodziewałeś? Czy nie mówiłem, że będzie to proste? Może następnym razem!” Następnym razem? Prawie nigdy nie ma następnego razu. Saudka zawsze drwi z oczekiwań: okutany żołnierz okazuje się kobietą, zbiorowe zdjęcie z weseleńskim przyjęciem, na którym wyraźnie można spostrzec kilka par, ostentacyjnie pokazuje wyłącznie kobiety, łono skrywane ręką odsłania nie to, czego się można spodziewać, kształtna głowa kąpiącej się, wystająca z wanny na pierwszym zdjęciu, na drugim jest już tylko dodatkiem do monstrualnego ciała, jabłka leżącego na łodzi zastępuje również leżący na niej biust. Obnażenie ciała nie równa się obnażeniu prawdy. Jeśli prawda jest kobietą, to może — znów przywołajmy Nietzschego — nie ma ona ochoty, by ktoś zaglądał w jej głębie? Jeśli kobiecie ciało rzeczywiście jest najpiękniejszym znakiem porozu, a proste przeciwieństwo piękna i brzydoty wydaje się bardzo względne, to może wystarczy pozostać na powierzchni, może wystarczy ulec fascynacji pozorowi? Z pewnością tak, choć nie należy zapominać o Czasie, którego panowanie nad ciałem nie jest tylko pozorne. O tym właśnie, przede wszystkim, opowiadają fotografie Jana Saudka.

Jan Saudka: *Życie, Miłość, Śmierć i inne Błahostki*, słowo wstępne M. Tournier, Artes, Warszawa 1994.

Marek Wierczyński **Przeglądając** **Nową Encyklopedię Powszechną PWN**

Zarówno w reklamach, jak i w przedmowie do Nowej Encyklopedii Powszechnej (NEP) używano jako jej mocną stronę — wyposażenie ilustracyjne. Rzeczywiście, cieszy ono oko wielobarwnością wielu ilustracji w tekście. Gdy jednak przyglądamy się im bliżej — powstają różne wątpliwości i pretensje. Od razu się zastrzegam — nie trzeba znaczenia ich przeceniać; to, co tu napiszę ma trochę zabarwienie zabawowe czy rozrywkowe. Ale tylko po części.

Uwagę moją zajęły podobizny postaci, które w t. I (litery A-C) występują. Można by zapytać, czy w ogóle są one w encyklopedii niezbędne? To zależy od roli historycznej, czy zawodu wykonywanego przez daną osobę. Aparycja aktora, tancerza, ale także — władcy, męża stanu, nawet wirtuoz („Lwia grzywa” Paderewskiego!) ma znaczenie duże, wygląd matematyka czy kompozytora — żadne. Użytkownicy są jednak na ogół ciekawi tego, jak wyglądają wszyscy sławni ludzie, a niektórzy — uważają, że fizyczność postaci łączy jakieś związki z jej charakterem i działalnością. Redakcje encyklopedii dbają więc o to, by ciekawość tę zaspokoić. Zadbano o to także redakcja NEP. Podobizn jest dużo, w tym wiele kolorowych. Czy jednak dobór hasel wyposażonych w portrety jest zobiektywizowany? Niezupełnie. Trudno zrozumieć, dlaczego pominięto np. Henryka Barycza, Hermana Brocha, Martina Bubera, Paula Celana, Piotra Chmielowskiego — jeśli jest np. Klimek Bachleda, Jakub Bart-Ćisinski (działacz i pisarz łączycki), czy Giacomo Agnelli (prezes największego koncernu we Włoszech).

Reliktem dawnych obyczajów encyklopedycznych jest brak portretów przy hasłach poświęconych politykom, którzy odegrali w historii rolę dużą, ale niechlubną. Brak fotografii Berii i Breżniewa, Ga i Bormana trudno interpretować inaczej niż jako formę „ukarania” tych polityków, nawiązującą do encyklopedycznych praktyk zamkniętego już okresu.

„Ulaskawia” redakcja tylko Bolesława Bieruta i Fidela Castro, poza tym — jak to zauważył już Edward Pietraszek („Uwagi do encyklopedii”, „Wiadomości Kulturalne” nr 22) nie obdarzono fotografią żadnej postaci związanej z państwami komunistycznymi.

Z innych powodów dyskryminacja spotkała (z nielicznymi wyjątkami) malarzy i architektów. Uznano widać, że ważniejsze od ich twarzy są ich dzieła, a że na pokazanie jednego i drugiego miejsca by nie starczyło, więc w NEP nie znalazł się wizerunek Canovy, Chagalla, Chelmońskiego. Poszczęściło się tylko tym artystom, których biogramy zilustrowano ich autportretami, a także — Williamowi Blake’owi i Józefowi Czapskiemu.

Z reżyserami postępowano rozmaicie — albo pokazano ich twarze (Axer, René Clair), albo sceny z ich dzieł (Ingmar Bergman, Buñuel).

Wielkość portretów jest w NEP bardzo zróżnicowana — najmniejsze mają postać znacząca poety, największy — nie wiadomo dlaczego — jest to portret Anny Jagiellonki — ma format 11x11 cm, co jest chyba przejawem pewnej rozrzućności w gospodarowaniu miejscem. Domyślić się moż-

na, że o rozmiarach decydowały nieraz względy techniczne, ale zgodzi się chyba redakcja NEP, że — rozmiary portretów dla czytelników, zwłaszcza mniej zorientowanych, są pewnym sygnałem ważności danej postaci. Z tego punktu widzenia trudno wiele decyzji zaakceptować. Dlaczego Anouilh ma dwa razy większy portret niż Bulhakow, Bach niż Beethoven, Barańczak niż Borowski, Brandstaetter niż Czechowicz, „Zbyszko” Cyganiewicz niż Stefan Banach, Montserrat Caballé niż Pablo Casals? Dlaczego zarówno Bohdan Chmielnicki jak i Adam Chmielowski (święty, bądź co bądź) pokazani są w najmniejszym z możliwych formatów?

Inny sposób różnicowania ważności postaci to podobizna wielobarwna lub biało-czarna. Oczywiście oddziaływały tu deformujące możliwości techniczne: wizerunki np. wielu XIX-wiecznych uczonych czy pisarzy znamy tylko z dagerotypów, wszyscy współcześni mają kolorową dokumentację fotograficzną. Ale predykcje redaktorów są widoczne: kolorem wyróżniono przede wszystkim akceptowanych polityków (Andersa, Busha, Cartera, Brzezińskiego, Casarelliego, Adama Bienia), no i gwiazdy filmowe (np. Adjani, Belmondo, Burton), spośród pisarzy polskich — Barańczaka i Mariana Brandysa.

Wspomniałem już, że fotografie artystów teatru, baletu czy filmu są na pewno potrzebnym składnikiem encyklopedii. Dobór ich jednak w NEP jest nie najlepszy: zamiast pokazać ich w ich wielkich rolach, lub przynajmniej w zdjęciach utrwalających ich urodę in optima forma — zamieszczono tylko zdjęcia portretowe, i to zrobione, gdy ludzie ci byli już w zaawansowanym wieku — proszę spojrzeć na Adwentowicza, Barysznikowa, Ingrid Bergmann... Fotografia Niny Andrycz ukazuje seniorkę naszej sceny — czy nie należało jednak pokazać jej w roli Solange czy Marii Stuart? Barbara Bittnerówna jest bardzo ładna na swoim portrecie, ale więcej o niej mówiłoby zdjęcie przedstawiające ją w tańcu.

NEP pokazuje często wybitne postacię poprzez ich malarskie portrety i rzeźby — decyzja jak najsłuszniejsza, ale w znacznej mierze zamarnowana przez to, że pominięto informacje o twórcach tych dzieł sztuki. Nie ostrzeżono też czytelnika, że w niektórych wypadkach zamieszczono nie portrety autentyczne, lecz tylko imaginacyjne. Tu należy większość reprodukcji rzeźb antycznych przedstawiających filozofów czy poetów, ale także portrety Bolesławów: Chrobrego, Śmiałego czy Krzywoustego. Gdybyż to były jeszcze rysunki Matejki — te warto w encyklopedii pokazać, bo utrwaliły się one w wyobraźni narodowej, tymczasem zdecydowano się na mało znane XVII-wieczne fantazje ikonograficzne!

Jeszcze jedna uwaga: na umieszczonych obok siebie ilustracjach Adam Kazimierz i Adam Jerzy Czartoryski mają identyczne głowy (choć jak wiadomo Adam Jerzy tylko de iure był synem Adama Kazimierza). Wszystkie wskazuje na to, że reprodukcja portretu Adama Jerzego jest także portretem Adama Kazimierza, tylko w innym stroju, tego samego autorstwa — Józefa Peszki.

kowanym wewnętrznemu rytmowi, jakby frazie muzycznej, która przesyca jej wiersze” (z posłowie A. Kajtochowej).

Mariusz Rosiak *Pan Ghulam z Hotelu Intercontinental, Wydawnictwo ARS NOVA, Poznań 1994.*

„Przypowieść” o dyrektorze Hotelu Intercontinental w Kabulu, „jedynej czynnej w mieście noclegowni, która już dawno przestała zapewniać cokolwiek gościom”, inspirowana artykułem Wojciecha Jagielskiego pt. *Azjałtyckie Sarajewo*. Ilustrowana wstrząsającymi zdjęciami Kabulu autorstwa Krzysztofa Millera.

M. Rosiak zajmuje się poezją i krytyką artystyczną — wydawca i redaktor kwartalnika artystycznego „Artelier” oraz dwumiesięcznika „Gazeta Malarzy i Poetów”.

Władysław Szyma, Stefan Żółtowski *Duet, Częstochowa 1995.*

Bibliofilski tomik dwóch poetów: Władysław Szyma jest twórcą wielu utworów poetyckich, opowiadań i reportaży (i poligrafem z wyboru); Stefan Żółtowski debiutował w r. 1977, wydał 4 zbiorki poetyckie. Jest ekonomistą, kieruje oddziałem banku PKO w Myszkowie w Częstochowskim.

Stanisław Dąbrowski *Wiersz z drogą współbieżną, Gdynia-Rumia 1995.*

Dwunasty, obszerny zbiór „wierszy oliwskich” autora z Wybrzeża. Ten interesujący poeta jest również ciekawym eseistą, krytykiem, autorem m.in. sześciu książek z teorii literatury.



WYDAWNICTWO
NAUKOWE
PWN
poleca:

Anna Świderkówna
ROZMOWY O BIBLIJ

Biblia jest jedynym w swoim rodzaju zjawiskiem w dziejach naszej cywilizacji i jej wpływ można odnaleźć w każdej dziedzinie życia. Wokół tego wspaniałego dzieła krąży wiele nieporozumień, tkwi w nim także mnóstwo zagadek i niejasności. Anna Świderkówna — znakomity naukowiec i popularyzator historii starożytnej — jako historyk hellenistyczny świata, w którym ukształtowała się Biblia, zaprasza w *Rozmowach o Biblii* wszystkich chętnych — wierzących i niewierzących — „do swobodnej przechadzki po różnych księgach biblijnych i różnych stuleciach”. Krok po kroku wciąga czytelnika do wspólnego odkrywania, poznawania i rozszyfrowywania zagadek, wyjaśniania nieporozumień, niejasności, rozwiewania legend. Czini to szanując tożsamość pisarzy biblijnych i stosując naukowe metody w odczytywaniu starożytnych tekstów w przystępny, pełen kultury sposób. *Rozmowy o Biblii* — bogato ilustrowane, zawierające mapy, bibliografię oraz indeksy biblijny i rzeczowy — są lekturą dla każdego. Wkrótce ukaże się ciąg dalszy *Rozmów o Biblii*.

Zdzisław Libera
UCZENI I NAUCZYCIELE

Praca przedstawia sylwetki wybitnych uczonych (m.in. T. Kotarbińskiego, J. Ujejskiego, J. Krzyżanowskiego, Z. Szmydowej, W. Borowego) w większości polonistów działających od końca XIX wieku po czasy współczesne — których zasługi w dziedzinie badań nad literaturą i jej upowszechnieniem wpłynęły na świadomość inteligencji polskiej XX wieku. Największą wartością tej książki jest przypomnienie badaczom, studentom i szerszemu gronu czytelników zasad dotyczących etyki zawodowej uczonego i nauczyciela oraz wskazanie ubogacającej roli humanistyki w życiu umysłowym, w kształtowaniu ludzkich postaw i odpowiedzialności za stan wiedzy społeczeństwa.

Imre Lakatos
PISMA Z FILOZOFII NAUK
EMPIRYCZNYCH

(Wybór z: Philosophical Papers)
Tłum. Wojciech Sady
Seria: *Biblioteka Współczesnych Filozofów*

Jest to wybór pism jednego z najwybitniejszych — obok Poppera, Kuhna i Feyerabend — współczesnych filozofów nauki. Poszukując kompromisu między irracjonalizmem i racjonalizmem wywarł wpływ na wielu myślicieli, nie tylko na tych, którzy specjalizują się w filozofii nauki. Tom zawiera następujące prace: *Falsyfikacja a metodologia naukowych programów badawczych; Historia nauki i jej racjonalne rekonstrukcje; Popper o demarkacji i indukcji; Dlaczego program badawczy Kopernika wy-*

Zapraszamy do naszych księgarni promocyjnych na terenie całego kraju, w których można kupić wszystkie publikacje naszego Wydawnictwa.

WYDAWNICTWO
NAUKOWE
PWN

ul. Miodowa 10,
00-251 WARSZAWA
Dział Sprzedaży:
tel (0-2)635-09-76
fax (0-2)26-09-50

ODDZIAŁ w Krakowie
31-037 KRAKÓW
ul. św. Tomasza 30

parł program Ptolemeusza? (współautor — Elie Zahar); Program oceniania teorii naukowych — trzy podejścia; Nauka i pseudonauka; Społeczna odpowiedzialność nauki. Wyboru dokonał i wstępem poprzedził Wojciech Sady.

Mieczysław Klimowicz
LITERATURA OŚWIECENIA
Seria: *Dzieje Literatury Polskiej*
Pod. red. Jerzego Ziorka

Wznawiany kolejny tom znanej syntezy uniwersyteckiej obejmuje informacje o podstawowych nurtach i zagadnieniach dotyczących literatury epoki. Uwzględnia także rozwój teatru i dramatu polskiego oraz omawia inne wydarzenia kulturalno-polityczne począwszy od wczesnego Oświecenia w pierwszej połowie wieku XVIII po kres tej epoki literackiej w latach dziewięćdziesiątych. W pracy zamieszczono noty biograficzne, wskazówki bibliograficzne oraz indeks osób i utworów anonimowych.

OŚWIECENI O LITERATURZE
Cz. 2 wypowiedzi pisarzy
polskich 1801-1830

Wyb. i oprac. Teresa Kostkiewiczowa i Zbigniew Goliński

To drugi wolumin tomu *Oświeceni o literaturze*, wydanego w roku 1993, z cyklu *Świadomość Literacka w Polsce* — antologii pism formułujących teorie estetycznoliterackie późnego Oświecenia do roku 1830 i zarazem doskonały materiał do rekonstrukcji dziejów wielu pojęć, kategorii i terminów literaturoznawczych. Dobór utworów jest reprezentatywny dla literackiej świadomości epoki postanislawowskiej, a struktura opracowania poszczególnych tekstów — przejrzysta. Każda pozycja antologii składa się z krótkiego biogramu, noty wydawniczej i bibliografii. Omówienia oraz przypisy są dobrane trafnie i wyczerpująco, co zapewnia pożytki naukowe, edukacyjne i ułatwia posługiwanie się książką. Całość uzupełniają indeksy terminów i nazwisk opracowane dla obu części tomu.

ENCYKLOPEDIA MUZYKI
Pod red. Andrzeja Chodkowskiego

Encyklopedia muzyki nawiązuje do *Malej encyklopedii muzyki* PWN, której ostatnie wydanie ukazało się przed piętnastu laty. Stanowi wyczerpujące popularne kompendium wiedzy o muzyce i muzykach od czasów starożytnych do dziś. Zawiera ok. 8000 hasel ze wszystkich dziedzin muzyki, w tym: — 3700 hasel rzeczowych, obejmujących style i szkoły muzyczne, historię muzyki, muzykę kościelną, formy muzyczne, instrumenty muzyczne, z uwzględnieniem instrumentów elektronicznych; instytucje muzyczne, wydawnictwa muzyczne, — 4300 biogramów kompozytorów, wykonawców, dyrygentów, muzykologów. Ponad 1000 hasel biograficznych dotyczy twórców polskich.

Książki nadesłane

Jean Vercoutter *W poszukiwaniu starożytnego Egiptu, przeł. Maciej G. Witkowski, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.*

Barwna historia wykopalisk, historycznych odkryć prowadzących do lepszego poznania dziejów starożytnego Egiptu, napisana przystępnym językiem, bogato ilustrowana — to jedna z nowych pozycji z poczytnej serii *Krajobrazy cywilizacji*.

Teodor Krupkowski *Ten piękny dzionek, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1995.*

Książka przywołuje z nostalgią rodzinne Leszno profesora-fizyka, czas dzieciństwa i młodości. Jej bohaterami są m.in. znakomici poeci Stanisław Grochowiak i Jacek Petelenz-Lukasiewicz, tłumacz Feliks Przybylak. Książka napisana bogatą polszczyzną, znakomity późny debiut!

Anna Janko *Zabici czasem długo stoją, Wydawnictwo OKIS, Wrocław 1995.*

Ukazuje się w Serii III Biblioteki Wrocławskiego Oddziału SPP nowa książka poetycka Anny Janko to jej piąty, jak zwykle interesujący, zbiorek liryków z ostatnich lat.

Hanna Wietrzny *Tańczące lato, Krakowski Klub Artystyczno-Literacki, Kraków 1995.*

Drugi po zbiorze pt. *Plecak nadziei* (Kraków 1994) tomik poetycki pisarki i aktorki z Krakowa. „Autorka, aktorka krakowskiego Starego Teatru, Akne i teatru w Nowej Hucie korzysta z bogatego zaplecza kulturowego, a przecież czyni to naturalnie, bezpośrednio, przetworzywszy wszystko we własnym sposobie życia i odczuwania, podporząd-

Adam Łapiński
HISTORIA RELIGII
Słownik terminologiczny
 Seria: Ze złotą twarzą

Wyd. 1, s. 168, format A5, ilustracje, cena 14,00 zł.
 ISBN 83-02-05552-2

Słownik otwiera nowy cykl opracowań leksykalnych poświęconych naukom humanistycznym. W cyklu będą ukazywać się słowniki terminologiczne, biograficzne oraz słowniki o charakterze encyklopedycznym.

Słownik powstał z potrzeby uporządkowania podstawowej terminologii z zakresu historii religii, religioznawstwa, teologii i filozofii religii, używanej zarówno w piśmiennictwie naukowym, popularnonaukowym, w dyskusjach między badaczami, jak i w mass mediach.

Zestawiony tu zbiór zawiera około 2200 jednostek leksykalnych.

Słownik adresowany jest do nieprofesjonalnego użytkownika zainteresowanego problemami religii. Może służyć z równym powodzeniem uczniom szkół średnich, nauczycielom, a także studentom kierunków teologicznych różnego stopnia.

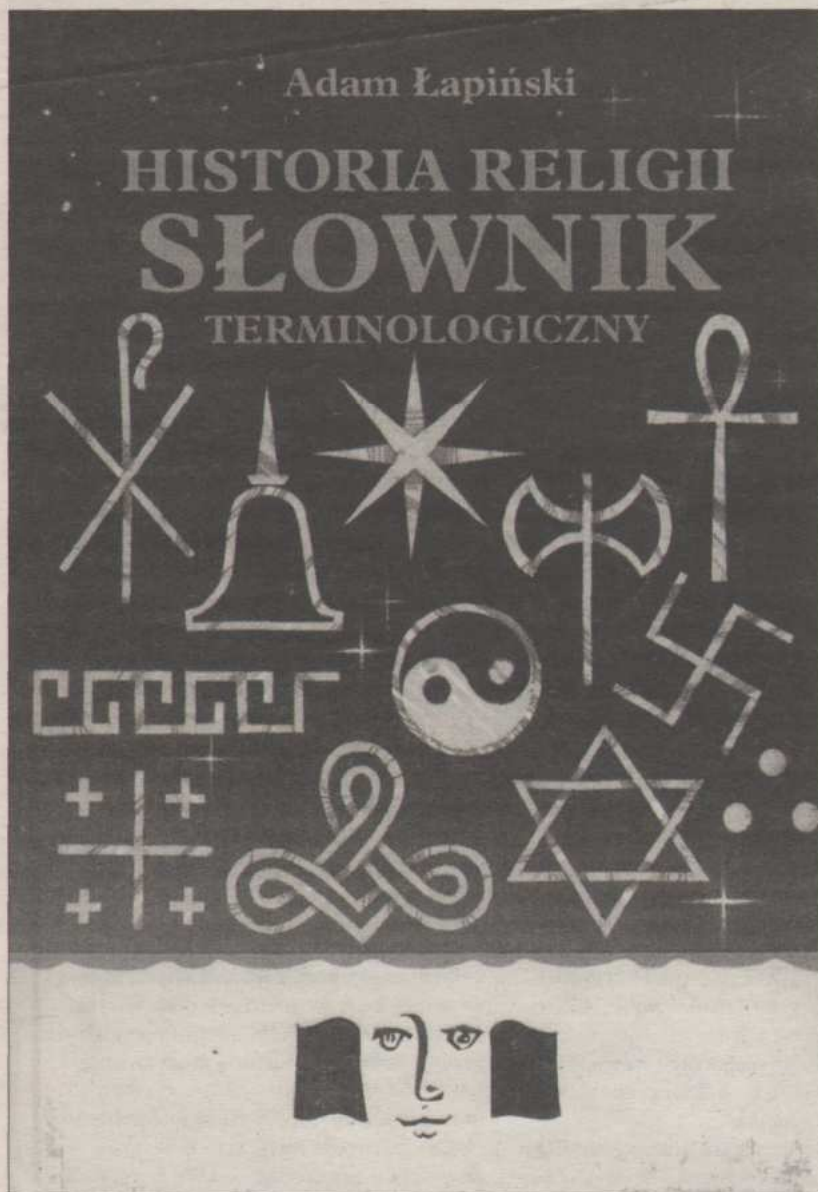
Wkrótce w księgarniach!

W przygotowaniu:

- ❖ Tadeusz Ślabczyński *Wielcy odkrywcy i podróżnicy*
- ❖ Albertyna Dembska *Słownik kultury starożytnego Egiptu*

Zamówienia z podaniem dokładnego adresu prosimy nadsyłać do:
 Działu Marketingu, Wydawnictw Szkolnych i Pedagogicznych
 00-696 WARSZAWA, ul. Pankiewicza 3.

Podatnicy VAT proszeni są o podanie numeru identyfikacyjnego firmy oraz wyrażenie zgody na wystawienie faktury bez podpisu odbiorcy.



WSiP
WYDAWNICTWA
SZKOLNE
I PEDAGOGICZNE

00-950 WARSZAWA,
Plac Dąbrowskiego 8,
tel. 26-54-51 (centrala),
fax 27-92-80, telex 816132 WSiP pl.

ZAPRASZAMY
DO KSIĘGARNI FIRMOWYCH

w WARSZAWIE
 ul. Kredytowa 9, pl. Dąbrowskiego 8,
 tel. 26-54-51 w. 170,
 26-75-70, 26-01-76

w KRAKOWIE
 ul. Sławkowska 11,
 Księgarnia Literacka, tel. 22-47-73

Dział Marketingu
 00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
 tel. 628-24-91 wewn. 246, 283;
 tel/fax 628-95-73

Dział Akwizycji,
Kiermaszy i Wysyłki WSiP
 00-696 Warszawa, ul. Pankiewicza 3
 tel. 628-24-91 wewn. 230, 214

Hurtownia WSiP
 04-186 Warszawa, ul. Grochowska 21
 tel. 610-69-06; tel/fax 610-67-95

Szanowni Wydawcy

Jesteśmy najnowszą drukarnią prasową w Polsce, wyposażoną w sprzęt i urządzenia poligraficzne renomowanych firm.

Dysponujemy wysoko wydajną maszyną rotacyjną Man-Plamag oraz doskonale oprzyrządowaną przygotowalnią offsetową.

Nowoczesny park maszynowy, starannie dobrana kadra specjalistów gwarantują wykonanie usług na wysokim poziomie. Uzyskiwana przez nas jakość druku, w tym także kolorowego z pewnością zadowoli Wasze ambicje wydawców, a także usatysfakcjonuje ogłoszeniodawców, którzy będą zamieszczać reklamy w Waszych gazetach i czasopismach.

Zapraszamy Was do stałej współpracy!

Polecamy również druk wydań specjalnych i olicznościowych oraz dodatków tematycznych, promocyjnych i reklamowych.

Krakowska
Drukarnia
Prasowa
 Sp. z o.o.
31-580 Kraków
ul. Nowohucka 50

centrala: 25 90 86
 fax: 44 51 34

Prezes Zarządu
 44 50 29

Dyr. d/s techn.:
 44 47 07

Dyr. d/s Produkcji:
 44 27 41

Dział Marketingu:
 44 10 04

Gwarantujemy wysoką jakość druku,
 sprawną obsługę
 i fachowe doradztwo!

Druk
 Press
 Press
 Press
 Press